Wojna i okupacja

we wspomnieniach Józefa Borowiaka – leszczyńskiego nauczyciela

Wojna i okupacja

we wspomnieniach Józefa Borowiaka – leszczyńskiego nauczyciela

pod redakcją Elżbiety Olender

Leszno 2019

Patronat HONOROWY
Prezydent Miasta Leszna
Łukasz Borowiak

Wydanie sfinansowano
ze środków Urzędu Miasta Leszna

© Copyright by Archiwum Państwowe w Lesznie
© Copyright by Urząd Miasta Leszna
© Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna w Lesznie

Opracowanie redakcyjne
Elżbieta Olender

Projekt okładki i Skład komputerowy:
Miejska Biblioteka Publiczna
im. Stanisława Grochowiaka w Lesznie
– Irena Walachowska

Korekta:
Ryszard Biberstajn

ISBN 978-83-947025-2-6

Wydawca:
Archiwum Państwow e w Lesznie
ul. Solskiego 71, 64-100 Leszno
www.archiwum.leszno.pl
65 526-97-19

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W LESZNIE
ARCHIWA PAŃSTWOWE

Druk:
Poligrafia Salezjańska

Józef Borowiak w 1982 r.

Od redakcji

1 września 2019 r. przypada 80. rocznica wybuchu II wojny światowej. Rocznica ta stała się okazją do podjęcia działań mających na celu wydanie wspomnień Józefa Borowiaka z okresu okupacji niemieckiej.

Archiwum Państwowe w Lesznie i Miejska Biblioteka Publiczna wydały fragment jego wspomnień w związku z realizowanym w 2006 r. projektem *Patriotyzm jutra – Walka o polskość w południowo-zachodniej Wielkopolsce w I połowie XX wieku. Wzory postaw patriotycznych.* Niestety wówczas nie udało się opublikować wspomnień w całości.

Wspomnienia Józefa Borowiaka trafiły do Archiwum Państwowego w dwojaki sposób. Zostały przekazane przez Leszczyńskie Towarzystwo Kulturalne w ramach przekazywania akt z działalności stowarzyszenia i znalazły się w zespole Leszczyńskie Towarzystwo Kulturalne – sygn. 73. Wspomnienia zostały również przekazane przez Jerzego Zielonkę – redaktora „Panoramy Leszczyńskiej", leszczyńskiego regionalistę, badacza okresu okupacji na terenie Ziemi Leszczyńskiej. Wspomnienia znalazły się w zespole Jerzy Zielonka – spuścizna (dziennikarz „Panoramy Leszczyńskiej") – sygn. 10. To właśnie Jerzy Zielonka zwrócił uwagę pracowników Archiwum Państwowego w Lesznie na walory wspomnień Józefa Borowiaka, z którymi zapoznał się będąc

członkiem jury konkursu zorganizowanego między innymi przez Leszczyńskie Towarzystwo Kulturalne.

W 1981 r. Leszczyńskie Towarzystwo Kulturalne przy współpracy z Towarzystwem Miłośników Ziemi Kościańskiej, Rawickim Towarzystwem Kulturalnym i Wschowskim Towarzystwem Kultury ogłosiło konkurs na wspomnienia pod hasłem „Życie codzienne w okupowanych miastach i wioskach województwa leszczyńskiego w latach 1939–1945". Celem konkursu było zachowanie świadectwa i pogłębianie wśród społeczeństwa znajomości realiów oraz warunków życia w latach okupacji, zainspirowanie do utrwalenia własnych doświadczeń i przeżyć z okresu II wojny światowej, ukazania martyrologii Polaków w okresie 1939–1945 na terenie województwa leszczyńskiego, spopularyzowanie i udostępnienie szerszemu ogółowi doświadczeń z lat 1939–1945, poprzez wydanie drukiem najwartościowszych prac. Na konkurs wpłynęło 14 prac. Jury konkursu w składzie: dr Aleksander Piwoń – przewodniczący, Antonina Chmielowska, dr Anna Żalik, redaktor Jerzy Zielonka przyznało cztery nagrody: I Józefowi Stasiakowi, II Konstantemu Kaczmarkowi, III Marii Wieckiej i właśnie Józefowi Borowiakowi. Niestety nie udało się wówczas spełnić jednego z celów konkursu, czyli nie wydano drukiem w całości najciekawszych wspomnień. „Panorama Leszczyńska" wydała we fragmentach wspomnienia Marii Wieckiej, Józefa Borowiaka i księdza Milana Kwiatkowskiego.

Dziś cel ten został częściowo zrealizowany. Dzięki współpracy Archiwum Państwowego z prezydentem Miasta Leszna Łukaszem Borowiakiem

można było jedno ze wspomnień konkursowych opublikować.

Wspomnienia powstałe w 1981 r. przez Józefa Borowiaka były pisane w innych realiach politycznych, co należy brać pod uwagę. Autor nie mógł podawać wszystkich informacji, choć je znał. Nie do końca jasno wypowiada się na przykład na temat wkroczenia Armii Czerwonej 17 września 1939 r. i tego, co się stało z częścią polskich oficerów, którzy dostali się do niewoli. Temat Katynia był mu znany, jak wynikało to z jego późniejszych rozmów z redaktorem Jerzym Zielonką. Także problematyka podziemia niepodległościowego podawana jest w charakterystyczny wówczas sposób, bo przecież inaczej wtedy nie można było pisać. Pozytywnie odnosił się we wspomnieniach do Józefa Rybińskiego, którego wówczas poznał, choć, jak sam przyznawał, wychowany był w inny sposób i miał inne poglądy. Autor nie oceniał też innej nowej Polski, bo nie taki był cel wspomnień.

Józef Borowiak napisał swoje wspomnienia na podstawie pamiętników pisanych w czasie okupacji szyfrem jedynie jemu znanym. Dziś zeszyty te znajdują się w rękach jego syna Eugeniusza Borowiaka. Być może redaktor Jerzy Zielonka, jeżeli odnajdzie w ogromie swoich zebranych materiałów notatki z odczytywania szyfru, które przekazał mu Józef Borowiak, potrafi jeszcze coś odczytać i być może światło dzienne ujrzą wątki, których wówczas nie można było ujawnić.

Ważnym walorem wspomnień jest to, że pokazują one życie codzienne w czasie okupacji w pod-

leszczyńskiej wsi. Wprawdzie odbijają się we wspomnieniach najważniejsze wydarzenia związane z II wojną światową, jak choćby agresja Niemiec na Francję i ZSRR, lądowanie aliantów w Normandii, ale oparte są głównie na lokalnych wydarzeniach. Czytelnik poznaje to, co ważnego wydarzyło się w Lesznie, jak np. zamordowanie mieszkańców miasta 21 października 1939 r. czy informacje na temat organizującego się tajnego nauczania. We wspomnieniach przejawia się jednak głównie codzienne życie w czasie okupacji, jego trudy, ale także drobne radości. Pokazane jest, jak radzono sobie z niedoborami żywności czy innych artykułów codziennego użytku, jak wyglądało wysiedlenie i codzienna praca u obcych, jaki był stosunek Niemców do Polaków. Wspomnienia te są tym bardziej cenne, że większość czytelników poznawała i poznaje historię II wojny światowej z perspektywy działań wojennych na frontach, układanek politycznych, czy wreszcie walki z okupantem głównie z perspektywy Generalnego Gubernatorstwa. Mało jest w podręcznikach informacji dla nas bardzo istotnych, bo traktujących o specyfice okupacji w naszym regionie.

Wspomnieniom Józefa Borowiaka redakcja nadała tytuł i śródtytuły w celu lepszej orientacji czasowej w tekście. Wspomnienia zostały opatrzone przypisami w celu wyjaśnienia pewnych sformułowań, niemieckich nazw, poszerzenia wiedzy o wydarzeniach, które można znaleźć w innych publikacjach. Redakcji podlegały również podpisy pod zdjęciami i rysunkami. Wspomnienia zostały

poprzedzone biogramem Józefa Borowiaka, przygotowanym przez jego syna Eugeniusza.

Mamy nadzieję, że wspomnienia pisane z perspektywy lokalnej będą interesującą lekturą, poszerzą wiedzę o okresie okupacji, zachęcą do rozmów z osobami, które jeszcze tamte ciężkie czasy pamiętają.

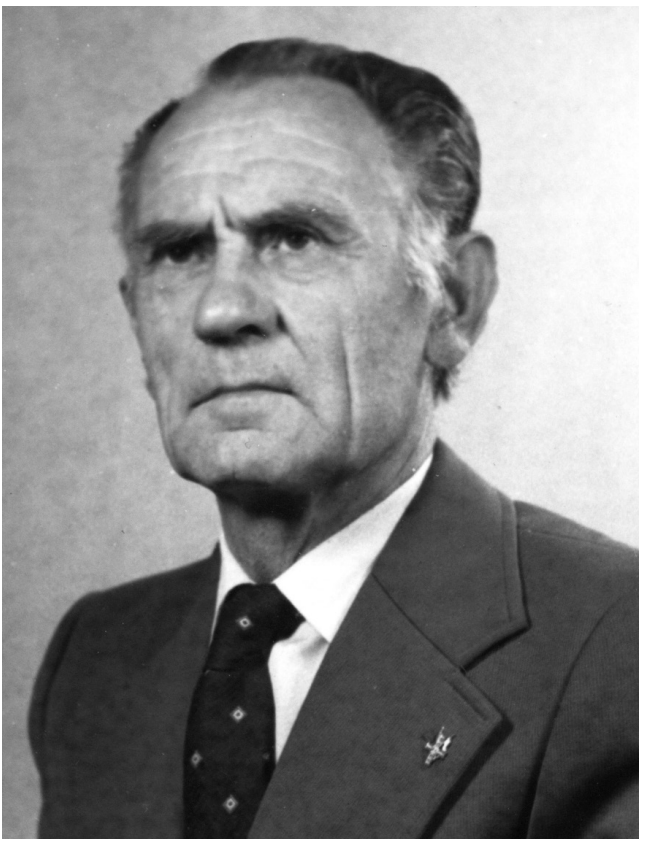

Józef Borowiak w roku 1982

Józef Borowiak

Urodził się 3 stycznia 1917 roku w Pawłowicach, gminie Krzemieniewo, w powiecie leszczyńskim. Ojciec Stanisław Borowiak (1872–1928), matka Katarzyna Borowiak, z domu Szablewska (1880–1958). Rodzice byli rolnikami od pokoleń. Ojciec Stanisław Borowiak brał udział w I wojnie światowej i Powstaniu Wielkopolskim, był prezesem kółka rolniczego, radnym. Matka po śmierci męża zajęła się gospodarstwem i utrzymaniem rodziny.

Miał dziewięcioro rodzeństwa: Felicję (ur. 1899), Pelagię (1901), Helenę (1903), Leona (1905), Marię (1906), Maksymiliana (1909), Joannę (1912), Cecylię (1914) i Szczepana (1918).

W roku szkolnym 1924/25 rozpoczął edukację w pięcioklasowej Publicznej Szkole Powszechnej w Pawłowicach, którą ukończył w roku szkolnym 1929/1930.

W roku szkolnym 1930/31 kontynuował naukę w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Lesznie (początkowo na kursie wstępnym), aż do roku szkolnego 1935/36, zdając egzamin dojrzałości 2 czerwca 1936 roku. Nauka w szkole była bardzo kosztowna, wiązała się z wyrzeczeniami całej rodziny. Czesne za szkołę opłacał ksiądz katecheta.

Po ukończeniu szkoły w związku z tym, że trudno było o pracę, zgłosił się na ochotnika na Kursie Podchorążych Rezerwy Piechoty w 58 PP 14 DP w Poznaniu. Przebywał tam od 20 września 1936 r. do 15 września 1937 r., kończąc w stopniu plutonowego podchorążego rezerwy.

Po powrocie do cywila pracował od 15 września 1937 r. do 30 czerwca 1939 r. w Szkole w Pawłowicach, najpierw jako nauczyciel na godzinach, a potem jako nauczyciel kierujący.

Po ogłoszeniu mobilizacji zgłosił się do punktu zbornego 14 DP pod Kutnem, walczył pod Warszawą podczas przedzierania się do stolicy, brał udział także w potyczkach pod Chełmem z wojskami hitlerowskimi nacierającymi z południa. 10 października powrócił do domu, początkowo ukrywał się, a potem pracował w gospodarstwie matki. Latem 1940 roku po złożeniu przysięgi przed Wojciechem Patelką został przyjęty do tajnej organizacji, której działanie praktycznie skończyło się wraz z wywłaszczeniem prawie całej wsi. Przydzielono go do pracy w gospodarstwie Niemca. Od 1 maja 1943 roku do końca okupacji organizował tajne nauczanie dla 11 dzieci znajomych i sąsiadów. W styczniu 1945 roku został zmuszony do odwiezienia uciekających Niemców. Przed Nową Solą uciekł i znalazł się w Lesznie w czasie, gdy do miasta zbliżały się wojska radzieckie. Po wyzwoleniu powrócił do Pawłowic, gdzie zaczął organizować szkołę. Został też komendantem Robotniczej Milicji Obywatelskiej na Pawłowice, Nowy Dwór, Kociugi i Robczysko. Pod koniec lutego, zgodnie z zarządzeniem władz oświatowych, podjął pracę w Piotrowicach. W maju zmobilizowano go do służby wojskowej w 2 Pułku Zapasowym w Krakowie. We wrześniu 1945 roku przeszedł do cywila.

Po powrocie wrócił do zawodu nauczyciela. Od 22 lutego 1945 r. do 31 sierpnia 1948 r. pracował ponownie w Piotrowicach jako kierownik szkoły. W roku szkolnym 1947/1948 ukończył studia matematycz-

Grupa oficerów na dziedzińcu koszarowym, Kraków, lipiec 1945 r.

ne na Wyższym Kursie Nauczycielskim w Poznaniu. Następnie od 1 września 1948 r. rozpoczął pracę w Święciechowie jako kierownik tamtejszej szkoły. W szkole tej pracował do 1 września 1977 r., kiedy to przeszedł na emeryturę.

28 września1945 ożenił się z Ireną Stróżycką z Leszna i miał z nią czworo dzieci: Eugeniusza (1946), Wiesława (1948), Aurelię (1951) i Przemysława (1966). Wszyscy są lub byli nauczycielami matematyki.

Za wybitne osiągnięcia w pracy dydaktycznej i wychowawczej został odznaczony: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Nagrodami Ministra Oświaty i Wychowania II i I stopnia, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem Zwycięstwa i Wolności 1945, Medalem za Wojnę Obronną 1939 roku, a także odznaką Za Zasługi dla Województwa Leszczyńskiego.

Ciągle udoskonalał swój warsztat pracy i metody nauczania, był autorem odczytów pedagogicznych, które ukazały się częściowo w formie artykułów:

„Jak realizuję postulaty kształcenia politechnicznego w nauczaniu fizyki w klasach VI i VII" (PZWS, Warszawa 1958), „Jak produkcja pomocy naukowych pomaga mi w osiąganiu dobrych wyników nauczania" (ukazał się w zeszycie V PZWS, Warszawa 1957 w dziale – „Pomoce naukowe wykonane w szkole"), „Wykorzystanie rzutnika do niektórych doświadczeń z elektrolizą" („Sprawy Oświatowe Województwa Poznańskiego" – Poznań 1956).

Wiele czasu poświęcał pracy społecznej. Jeszcze przed wybuchem wojny udzielał się w Pawłowicach, był dyrygentem Koła Śpiewu „Moniuszko" i chóru szkolnego, prezesem Wiejskiego Koła L.O.P.P., instruktorem w Kole Rezerwistów i Byłych Wojskowych, a także w Przysposobieniu Wojskowym. Po wojnie był m.in.: radnym i przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej w Święciechowie, radnym i zastępcą przewodniczącego Komisji Oświaty i Kultury przy Powiatowej Radzie Narodowej w Lesznie, komendantem Hufca ZHP, a później członkiem Komisji Historycznej przy Komendancie Hufca, sekretarzem Gminnego Koła ZBoWiD w Święciechowie, członkiem zarządu Wojewódzkiego Klubu byłych Nauczycieli Tajnego Nauczania, członkiem Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pomników i Miejsc Pamięci Narodowej.

W ostatnich latach życia dużo czasu poświęcił wymarzonemu hobby – rzeźbie.

Zmarł 1 marca 1986 roku w Święciechowie i pochowany został na cmentarzu parafialnym przy ulicy Kąkolewskiej w Lesznie.

Eugeniusz Borowiak

Józef Borowiak

Wojna i okupacja

we wspomnieniach Józefa Borowiaka – leszczyńskiego nauczyciela

Stanisław Borowiak – żołnierz armii niemieckiej – piąty od lewej, na froncie zachodnim we Francji, 1915 r.

Jak to się zaczęło

Będąc jeszcze młodym człowiekiem zacząłem pisać pamiętnik, który potem prowadziłem bardzo skrupulatnie przez cały czas okupacji. Wiele miejsca poświęciłem notatkom z życia osobistego, miłości i miłostkom, młodzieńczym porywom i refleksji, ale o tym nie chcę tu wiele pisać. Opierając się na zapiskach z tamtych lat, mogę podawać dokładne daty zdarzeń i wypadków.

Urodziłem się w 1917 roku w Pawłowicach koło Leszna. Byłem dziewiątym, ale nie ostatnim dzieckiem w rodzinie. Ojciec był wówczas na froncie zachodnim[1], a matka prowadziła gospodarstwo rolne i wychowywała swoją liczną gromadkę. Krótko przed zakończeniem wojny urodził się najmłodszy brat. Ojciec z frontu powrócił schorowany, ale w latach 1918/19 walczył w szeregach powstańców wielkopolskich pod Osieczną, o wyzwolenie Przybiny, Rydzyny i Leszna. Zmarł w 1928 r.

W 1936 zdałem maturę w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Lesznie. Zostałem nauczycielem, ale o posadzie w szkole można było sobie wówczas tylko pomarzyć. Aby nie siedzieć bezczynnie, zgłosiłem się ochotniczo do wojska. Służbę wojskową odbywałem w Szkole Podchorążych Rezerwy

[1] Autor ma na myśli front zachodni utworzony w czasie I wojny światowej na terenie Francji. Na front ten byli wysyłani najczęściej żołnierze narodowości polskiej powoływani do armii niemieckiej. Patrz szerzej: *Południowo-zachodnia Wielkopolska w latach I wojny światowej. Wybór źródeł*, Leszno 2014.

Król rumuński Karol w mundurze polskiego pułkownika (przejmował honorowe dowództwo 57 p.p.) z synem Michałem i marszałkiem Śmigłym-Rydzem, Biedrusko, 28.06.1937 r.

14 DP[2] w Poznaniu. Po wojsku przez jeden rok pracowałem jako nauczyciel płatny od godzin w rodzinnej wsi Pawłowice, a następnie przy ówczesnej granicy polsko-niemieckiej w Piotrowicach. Właściciel majątku, oficjele dworscy i rolnicy byli Niemcami; Polacy pracowali w majątku barona.

[2] Dywizji Piechoty.

Wizyta marszałka Rydza-Śmigłego w Lesznie, 21.05.1939 r.

1939

A WIĘC WOJNA

Stosunki z Niemcami układały się poprawnie do czasu wygłoszenia przez Hitlera złowróżebnego przemówienia w kwietniu 1939 roku. Potem wytworzyła się ciężka atmosfera – Niemcy stali się butni, unikali Polaków, odbywali tajne zebrania przy zasłoniętych oknach z udziałem emisariuszy z Reichu[3]. Młodzi Niemcy uciekali nocą za granicę. Informowaliśmy o tym władze powiatowe, ale nie uczyniono nic, bo wtedy nie należało za bardzo drażnić tych w Berlinie.

Ostatnie miesiące przed wojną pokazały, jak wielki jest patriotyzm naszego narodu. Gdy ogłoszono zbiórkę pieniężną na zakup broni dla armii, ludzie dawali chętnie często ostatnie grosze, a zdarzało się, że pożyczano pieniądze od sąsiadów. Było wówczas wielu bezrobotnych, a im na pewno nie przelewało się, jednak i oni nie skąpili grosza. Znam te sprawy z autopsji, bo z sołtysem brałem udział w zbiórce. Pod koniec sierpnia kopano rowy przeciwpancerne wokoło Leszna. Choć wypadła niedziela, z Pawłowic spieszyli ludzie rowerami, na wozach i pieszo. Do pracy zgłosili się starzy i młodzi. Później do wojska zgłaszało się bardzo wielu ochotników w różnym wieku. Taki był duch w narodzie w owym tragicznym 1939 roku.

[3] Słowo używane potocznie na określenie Rzeszy Niemieckiej.

30 sierpnia w południe rozwieszono obwieszczenia mobilizacyjne. Dwaj starsi bracia powołani do wojska byli już wcześniej. Zgodnie z rozkazem mobilizacyjnym pojechałem natychmiast do Kutna, skąd skierowano nas do Wieszczyc. Spotkałem tu kolegów z podchorążówki: Zb. Nykę, Józka Pospychałę, Michała Stachowiaka, Józefa Kostańskiego. Jesteśmy w 7 kompanii. Dowódcą batalionu zap. [asowego] 58 pp jest mjr J. Jankowski. Kwaterujemy w izbie szkolnej. Nauczycielka ma radio na baterie, więc słuchamy bez przerwy wieści ze świata. Jeszcze mamy nadzieję, że Hitler cofnie się i wojny nie będzie. Wysłałem listy do domu i sympatii. Nazajutrz, w piątek wcześnie rano widzieliśmy bombardowanie Kutna. Później naoczni świadkowie mówili o strasznym zniszczeniu dworca. O godzinie 11.00 wysłuchaliśmy w napięciu radiowego przemówienia prezydenta RP do narodu. Więc zaczęło się. Kończymy umundurowanie wojska, prowadzimy ćwiczenia i czekamy, kiedy nas wyślą na front. 3 września dowiadujemy się o wypowiedzeniu przez Anglię i Francję wojny Niemcom. Duch w wojsku wspaniały. Mówią nam dowódcy, że na froncie trwają zacięte boje, ale Niemców zatrzymano, a gdy ruszą sprzymierzeńcy, wojna nie potrwa długo. Domorośli poeci układają teksty, ktoś dorabia melodię i śpiewa się piosenki o defiladzie w Berlinie.

6 września alarm i forsowny marsz. Podobno w Łowiczu nas dozbroją i wyruszymy na front. Przez Łowicz przechodziliśmy nocą. Miasto częściowo zburzone, płoną domy, na chodnikach leżą zwęglone zwłoki, drażni ciężki swąd spalenizny. Jesteśmy

wstrząśnięci – zobaczyliśmy po raz pierwszy z bliska skutki wojny i nalotu na bezbronne miasto.

Do przedmieść Warszawy dotarliśmy 10 września. Napotkani ludzie mówili, że przed nami są Niemcy. W zabudowaniach natknęliśmy się na oddział wroga z czołgami, doszło do starcia. Niemcy nie spodziewali się pewnie naszego desperackiego ataku na bagnety i wycofali się. Według opinii rozgrzanych zwycięską potyczką żołnierzy wróg nie taki straszny, ale zaraz przyszła smutna refleksja: jak to się mogło stać, że Niemcy są już pod Warszawą, gdzie tu jest front?

Nad miastem łuny, na jezdni i chodnikach pełno szkła, miasto bez przerwy jest ostrzeliwane. Warszawiacy częstują gorącymi napojami i słodyczami. Zgodnie z rozkazem przez miasto przechodzimy grupami; mamy zebrać się w Sulejówku, potem skierowano nas do Garwolina i w końcu do Lublina. Wioski i miasteczka, przez które przechodzimy, są spalone, sterczą tylko kominy i wypalone ściany. Wśród zgliszcz włóczą się koty i bezpańskie psy. Na polach i poboczach dróg leżą zabite konie, rozwalone pojazdy, widać ślady krwi i szczątków ludzkich. Jest wielki upał i w powietrzu unosi się straszliwy odór. W dzień drogi przepełnione wojskiem i uciekinierami są ostrzeliwane i bombardowane przez nieprzyjacielskie lotnictwo.

Do Lublina przybyliśmy 15 września. Pełno tu wojska. Zapisują nas i formują nowe jednostki. Jestem dowódcą plutonu, dostałem nawet konia pod wierzch. W rejonie Rejowiec – Krasnystaw na skraju lasu zajmujemy i rozbudowujemy stanowiska

obronne. Z południa ciągną wymoszczone słomą furmanki z rannymi żołnierzami. Od nich dowiedzieliśmy się, że za nimi idą Niemcy. Za wojskiem ciągną rzesze cywilów i domagają się broni i wcielenia do wojska, wielu ma karty powołania. Mnie nagabywała grupa gimnazjalistów z Warszawy. Powiedziałem im, że niestety dobre chęci i przeszkolenie w PW[4] nie zastąpią broni, której nam brak, pochwaliłem za zapał, ale radziłem zmykać, bo tu niebawem zacznie się prawdziwy bój i będą zabici i ranni. Odeszli ze zwieszonymi głowami.

Do walki z Niemcami doszło pod wieczór. Z południa w naszym kierunku podążała kolumna wroga. Mieliśmy dobre działa i broń maszynową. Po otwarciu zmasowanego ognia z niedużej odległości zatrzymaliśmy, a później zmusiliśmy Niemców do odwrotu. Zrobiło się ciemno i zostaliśmy z lasu wycofani. Należało się spodziewać, że Niemcy z furią zbombardują go. Nasze dowództwo kazało złożyć broń i podpalić. Wszczął się tumult, żołnierze po wygranej bitwie chcieli rozstrzelać oficerów za zdradę. Wytłumaczono nam, że front załamał się, wschodnie granice przekroczyły wojska radzieckie, ich zamiarów nikt nie zna[5]. Szkoda krwi, która jesz-

[4] Przysposobienie Wojskowe – młodzieżowa organizacja wojskowa, mająca na celu przygotowanie młodzieży do służby wojskowej. Działała w latach 1927–1939.

[5] 17 września 1939 r. bez wypowiedzenia wojny ZSRR zbrojnie napadł na Polskę. W konsekwencji agresji nastąpiło spotkanie wojsk Armii Czerwonej i Wehrmachtu. Część zajętych wcześniej przez Niemców obszarów została oddana ZSRR zgodnie z wcześniejszymi porozumieniami. Szerzej: Jerzy Łojek, *Agresja 17 września 1939. Studium*

cze się przyda. Kazano iść do domów i czekać na dalsze rozkazy. Zgadałem się z Józkiem Płócienikiem z Rydzyny, uczestnikiem tej bitwy i razem z nim, z poczuciem winy niewypełnionego obowiązku, ruszyliśmy w kierunku domu. Zaczęła się dla mnie okupacja.

Pierwszą noc przegadałem z rolnikiem, który nas przygarnął pod swój dach. We wsi pełno polskiego wojska. Żołnierze zastraszeni, zagubieni, nie wiedzą, co robić. Gospodarz radził mi, abym przebrał się w cywilne ubranie, bo tak na pewno bezpieczniej. Dostałem robocze ubranie, a na nogi damskie sandały za małe dla mnie, więc rozciąłem napiętki. O świcie wjechały do wsi radzieckie czołgi. Wyszliśmy przed dom ciekawi, ale niepewni swego losu. Żołnierze zdali broń oraz pasy i mogli iść do domu. Do Piasków szliśmy z kolumną radzieckich wojsk. Poboczami dróg ciągną tłumy uciekinierów, wracają umęczeni do domowych pieleszy. Od Piasków do Lublina podobno „ziemia niczyja".

Sprawa bardzo nam się skomplikowała; chcąc dostać się do domu, musimy przejść aż dwie linie obcych lub wrogich nam wojsk. Za radą życzliwych ludzi zabraliśmy stary koszyk i motyczki do wybierania ziemniaków, że niby jesteśmy tutejsi i idziemy w pole. Przed Lublinem spotkaliśmy wracające z miasta kobiety, które ostrzegły nas, że Niemcy zamykają w cegielni na przedmieściu wszystkich młodych mężczyzn i żołnierzy. Radziły nam wejść do miasta opłotkami. Kątami, przez płoty, ogródki

---

aspektów politycznych, Instytut Wydawniczy „Pax", Warszawa 1990.

i podwórka weszliśmy jak złodzieje do Lublina. Była niedziela, 1 października 1939 roku.

W mieście ruch, na chodnikach tłumy patrzące z nienawiścią na maszerujące bez przerwy wojska okupanta. Jest bardzo piękna pogoda, ale atmosfera w mieście ciężka – but najeźdźcy depcze polską ziemię, wróg panoszy się i patrzy na nas z góry.

Nie zatrzymując się długo w mieście, ruszyliśmy w dalszą drogę. Nad Wisłę przybyliśmy nazajutrz wieczorem. Gnębi nas problem, jak przeprawić się na drugi brzeg. Mówią nam, że w Puławach i Kazimierzu na mostach stoją niemieckie posterunki i wyłapują młodych. Ze wsi łodzią nikt nas nie chciał przewieźć, bo bali się Niemców. Znalazł się w końcu ktoś z tamtego brzegu, który był tu w odwiedzinach, i zgodził się nas zabrać, ale ze względu na bezpieczeństwo dopiero w nocy. Szczęśliwie, choć z duszą na ramieniu, przepłynęliśmy Wisłę. Noc spędziliśmy u jednej wdowy z trzema córkami. Panny ładne, zdrowe jak rzepy, typowe polskie dziewczyny. Uwinęły się koło przygotowania posłania ze słomy. Gawędziliśmy długo w noc. Spaliśmy jak te susły, nareszcie pod dachem, na słomie, pod kolorowym i czystym przykryciem, w rodzinnej atmosferze. Do tego czasu spaliśmy w stogach i stodołach. Rano poszliśmy do szkoły, aby korzystając z mapy wytyczyć sobie najkrótszą drogę do domu. Przyjął nas młody nauczyciel, który też dopiero wrócił z wojny, jeszcze miał na sobie mundur. Bardzo się przejmował, że ja – jego kolega po fachu – nie mam na nogach butów. Jego były dla mnie za małe, dał mi za to płaszcz i czapkę na głowę.

Zaczyna padać deszcz, idzie się ciężko i dlatego „robimy" tylko 30 km dziennie. Dowiedzieliśmy się, że w Opocznie w komendanturze miasta można otrzymać przepustkę upoważniającą do jazdy pociągiem. Poszliśmy tam. Przyjął nas stary, siwy Hauptmann i papierki wydał. W bydlęcych wagonach dojechaliśmy do Pilicy, dalej pociąg nie jechał, bo most był zbombardowany. Na moście rozgrywały się dantejskie sceny. Na pewnych odcinkach wisiały tylko pojedyncze szyny, a w dole, wokół zwalonych przęseł, kłębiła się brudna woda rzeki. Kobiety z tobołkami i dziećmi doszedłszy do wiszących szyn, przestraszone, chciały zawracać, a z tyłu napierał niecierpliwy tłum. My z Józkiem nie mieliśmy żadnych pakunków, ja chwyciłem paczki jakiejś pani, Józef jej dziecko, wzięliśmy kobietę między siebie, skacząc i balansując, dostaliśmy się na drugi brzeg Pilicy. Do Tomaszowa Mazowieckiego udaliśmy się pieszo, a potem z różnymi przesiadkami, upakowani w wagonach jak sardynki w puszce, dotarliśmy do Krotoszyna. Była niedziela 8 października. Na dworcu tłumy ludzi czekających na powrót swoich bliskich. Noc przespaliśmy w Kuklinowie. Przed Krobią pożegnałem się z Józkiem, który uparł się, mimo ostrzeżeń ze strony spotkanych ludzi, iść przez Krobię. Ja ruszyłem na Żytowiecko. W listopadzie dostałem od Józka list z Niemiec. W Krobi jednak Niemcy byli, złapali go i wywieźli na roboty.

Wieczorem dotarłem do domu. Byłem zupełnie wyczerpany, „zrobiłem" jakby nie było około 70 km. Już widziałem rodzinny dom, a wydawało mi się, że tych kilkaset ostatnich kroków nie będę w stanie

zrobić. W rodzinie wielka radość, że wróciłem cały i zdrowy. Jeden przez drugiego opowiadał o tym, co się tu działo. Brat Leon został przez Niemców zatrzymany w Gostyniu i będzie prawdopodobnie zwolniony, o drugim – Maksymilianie – nic nie wiemy. Naturalnie w pierwszych dniach września wszyscy uciekali na wschód, byle dalej od granicy. Matka z siostrami, załadowanym wozem, dojechała do Krzemieniewa (6 km) do swojej siostry, ale tamta ze swoją rodziną też kilka kilometrów ujechała dalej. Wieczorem chodziły siostry do domu, aby nakarmić bydło i świnie. Rychło wszyscy powrócili. Psychoza ucieczki, podsycana przez władze, była zupełnie niepotrzebna, a nawet wielce szkodliwa.

Moi przyszli teściowie z Leszna z ręcznym wózkiem dotarli pieszo aż za Środę, gdzie mieszkali krewni. W Lesznie musieli zostawić piekarnię i dobrze zaopatrzony sklep kolonialny. Po kilku dniach wrócili. Przed miastem ostrzegła teściową sąsiadka, że ma uciekać, bo odgrażała się Niemka, ich lokatorka, że odda teściową na Gestapo za to, że kiedyś źle wyraziła się o Hitlerze. Dopiero usilne błagania teścia skruszyły rozsierdzoną Niemkę, która w końcu udobruchana zaniechała zemsty.

Szwagier Walek Rybiński opowiadał o swoich tarapatach, w jakie wpadł w pierwszych dniach okupacji. Już 7 września zajechał do Pawłowic samochód ciężarowy. Wysiedli z niego SS-mani i rozbiegli się po wsi. Złapali na ulicy lub wyciągnęli z domów 12 mężczyzn, zapakowali do samochodu i wywieźli do Leszna. Byli wśród nich: szwagier Adam Piotrowiak, Ludwik Borowiak, Jan Hałasiński,

Józef Katarzyński, Leon Patelka i inni. W Lesznie na rynku zgromadzono kilkuset, a może więcej spędzonych z całego powiatu i ustawiono ich w szeregu. Miejscowi volksdeutsche[6] rozpoznawali podejrzanych o wrogość do Niemców i tych natychmiast wyłączono. Pozostałych wywieziono do Żagania, stamtąd pod Szczecin, potem do Iterbach koło Berlina, i w końcu znów do Żagania. Po odpowiednim kazaniu i pouczeniu zwolniono ich 7 października. Szwagier i inni mocno byli przestraszeni i przez długi czas nie chcieli nic mówić na temat pobytu w obozie. Niemcy od pierwszych dni sterroryzowali Polaków, trzymali dużą grupę zakładników i wyłapali podejrzanych.

Przez pierwsze dni po powrocie leczyłem zbolałe i obtarte nogi, i powoli przychodziłem do sił. Na ciele pojawiły się wrzody, wynik przemoknięcia i przeziębienia. Spałem na sianie, nikt bowiem nie wiedział, co zamierzają uczynić Niemcy w stosunku

[6] Volksdeutsch – osoba wpisana na Niemiecką Listę Narodową (Volksliste). Lista ta była wprowadzona na terenach wcielonych do Rzeszy. Przewidywała podział wpisanych osób na cztery kategorie. Do pierwszej wpisywano Niemców, którzy w okresie międzywojennym aktywnie występowali na rzecz niemczyzny, do drugiej tych, którzy nie mogli wykazać się aktywnością, niemniej jednak zachowali niemieckość. Do trzeciej zaliczano osoby, które uległy polonizacji, względnie żyjące w małżeństwach mieszanych. Do czwartej tych, którzy byli pochodzenia niemieckiego, ale ulegli polonizacji, tzn. wykazywały się udziałem w polskim życiu organizacyjnym lub politycznym. Na Śląsku i Pomorzu wpisanie na listę odbywało się pod przymusem, w Wielkopolsce była prowadzona inna polityka – w większości przypadków na listę wpisywano się z własnej woli; E. Serwański, *Wielkopolska...*, s. 234–239.

do byłych żołnierzy polskich. W naszej wsi przed wojną były dwie rodziny niemieckie; stary Wilde, oborowy w majątku, leczył także konie i bydło rolników. Jego dzieci wychowywały się wśród Polaków, chodziły na nasze zabawy. W czasie okupacji nie zrobili nikomu krzywdy. Żyła jeszcze stara wdowa po murarzu. Sołtysem jest jeszcze Polak Jan Galon i on utrzymuje kontakty z władzami okupacyjnymi w Lesznie.

Życie wracało powoli do normy. Zjawiali się uciekinierzy i żołnierze, którym udało się uniknąć niewoli. Wrócił z tułaczki kierownik szkoły Wacław Komorowski. Namówił mnie, abym pojechał do inspektoratu i załatwił sobie posadę nauczyciela w Pawłowicach. Wojna długo nie potrwa, mówił, Niemców wkrótce diabli wezmą, szkoda czasu na wyczekiwanie.

Z dużymi wewnętrznymi oporami pojechałem do Leszna, do niemieckiego inspektora. Urząd mieścił się w budynku obecnego zespołu szkół odzieżowych[7]. Po wejściu do biura oniemiałem. Za stołem siedział znany mi dobrze były kierownik niemieckiej szkoły, z którym grywałem w skata u urzędnika gospodarczego w Piotrowicach. Poznał mnie, przywitał i zapytał, czy dobrze mówię po niemiecku. Umiałem niewiele, ale na pewno nie mniej, niż inni młodzi nauczyciele, których przyjął, ale on kołował, kręcił, aż w końcu poradził mi, abym poszukał sobie innej, spokojniejszej i bezpieczniejszej pracy. Okazało się później, że radził mi dobrze. W listopadzie

[7] Obecnie w budynku mieści się Zespół Szkół nr 4 im. Powstańców Wielkopolskich ul. Kurpińskiego 2.

i grudniu Niemcy „zwinęli" wszystkich polskich nauczycieli, którzy uczyli, i prawie wszystkich wywieźli do GG[8]. Wielu trafiło do więzień i obozów. Z gminy Święciechowa, gdzie przed wojną pracowałem, w więzieniach i obozach zginęli: Karol Skrzetuski ze Strzyżewic, Ludwik Filipowski z Przybyszewa, Wincenty Gąska z Lasocic, Stanisław Kabza z Gronowa, Adam Kwaśnik ze Święciechowy, mój poprzednik w Piotrowicach Bernard Krajewski, pochodzący z Pawłowic Józef Przewoźny, mój wychowawca w klasie I Konrad Kaniewski, dyrektor Seminarium Leon Adamowicz, dwaj profesorowie: Antoni Materna i Adolf Skopowski. Na froncie życie w obronie ojczyzny złożyli: Wiktor Zboralski z Długich Nowych i Antoni Kustosz ze Święciechowy. Józef Żurczak z Niechłodu był jeńcem oflagu w Murnau.

[8] Niemcy nie wywieźli i nie aresztowali wszystkich nauczycieli, pozostało ich w Lesznie jeszcze wielu – tworzyli ogniwa tajnego nauczania i organizowali konspirację wojskową, o czym dalej. Autor miał najprawdopodobniej na myśli tych nauczycieli, którzy zgłosili się do owego niemieckiego inspektora. GG – Generalne Gubernatorstwo. Na mocy dekretów Hitlera z 8 i 12 października 1939 r. ziemie zajęte przez Niemców zostały podzielone na: Generalne Gubernatorstwo oraz ziemie zachodnie wcielone do Rzeszy. Na tych ostatnich utworzono dwa okręgi – Reichsgau Danzig – Westpreussen i Reichsgau Posen oraz dwie rejencje – katowicką i ciechanowską. Nazwę Reichsgau Posen zmieniono 29 stycznia 1940 r. na Reichsgau Wartheland – Okręg Kraju Warty. Namiestnikiem w Kraju Warty został Artur Greiser. Kraj Warty podzielono na 6 powiatów miejskich i 38 wiejskich, w tym powiat leszczyński, który pozostał w przedwojennym kształcie. M. Komolka, *Leszno w okresie okupacji hitlerowskiej*, [w:] *Historia Leszna*, pod red. J. Topolskiego, Leszno 1997, s. 281.

W październiku otrzymaliśmy list od brata Maksymiliana ze stalagu – więc żyje! Odetchnęliśmy. Zająłem jego miejsce i pracuję w gospodarstwie matki. Ciągnie mnie do szkoły, ale praca na roli też przyjemna; z ziemią jestem silnie związany uczuciowo od dziecka. Rządy trzyma w ręku matka.

Słyszy się, że Niemcy raz po raz wyprowadzają jakiegoś Polaka i gdzieś wywożą. W dzień jest spokój, dalej więc sypiam na sianie nad stajnią.

Pod koniec października powrócił z wojny mój serdeczny kolega, nauczyciel i oficer rezerwy, Wojtek Patelka. Mamy sobie wiele do powiedzenia: dzielimy się wrażeniami z wojny, martwimy klęską, mimo wszystko jesteśmy wielkimi optymistami – niech no tylko nadejdzie wiosna, to ruszy ofensywa na zachodzie, Francja i Anglia mają teraz czas na przygotowanie, sztaby mogły też poznać na przykładzie wojny w Polsce strategię i taktykę wroga. Gdy ruszy wojna, my tu także zaczniemy Niemców nękać.

Z Wojtkiem chodzimy często do kierownika szkoły na „wielką politykę". Pocieszamy się i wierzymy niezłomnie w rychłe zakończenie wojny oraz odzyskanie wolności. Trudno sobie dzisiaj wyobrazić, co by wówczas było, gdybyśmy wiedzieli, że wojna potrwa jeszcze ponad pięć lat...

21 października dowiedzieliśmy się o strasznym mordzie dokonanym na 20 niewinnych obywatelach Leszna i powiatu[9]. Rozstrzelano ich na oczach setek

[9] 21 października 1939 r. w Lesznie przed sądem doraźnym niemieckiej policji bezpieczeństwa z Poznania stanęło 53 Polaków. Wśród oskarżycieli byli pastor Wilhelm Bickerich i przedsiębiorca Artur Krämer. Na śmierć

dorosłych oraz dzieci z Hitlerjugend. Oto przykład na wychowanie dzieci i młodzieży!

Przed egzekucją panowała w więzieniu atmosfera, jakiej opisać nie sposób. Opowiadał mi o tym jeden z zakładników, który przeżył. Niemcy wyprowadzali kolejno skazanych, a reszta czekała na swoją kolej, słyszała strzały i jęki; biedacy płakali, modlili się, złorzeczyli i przeklinali. Rozstrzelani pod ścianą śmierci zachowali się z godnością, niektórzy wznosili okrzyki: „Jeszcze Polska nie zginęła".

Zwłoki pomordowanych pogrzebano przy plantach obok cmentarza. Dla uczczenia niewinnie pomordowanych, a zasłużonych obywateli, składano skrycie na mogile świeże kwiaty. Rozstrzeliwano również w innych miejscowościach, ze Święciechowy

---

skazano 20 mężczyzn: Marcina Adamskiego, Ludwika Antoniaka, Brunona Bartoszkiewicza, Marcina Güntera, Zygfryda Hańcę, Bolesława Karpińskiego, Wacława Kęsickiego, Bronisława Kotlarskiego, Józefa Łukowskiego, Józefa Marcinkowskiego, Leona Marcinkowskiego, Feliksa Michalaka, Władysława Nowaka, Jana Nowickiego, Mieczysława Opatrnego, Stefana Samolewskiego, Józefa Stotko, Stanisława Szal, Maksymiliana Trendowicza, Tomasza Wachowskiego. Zwłoki pomordowanych wywieziono za miasto. Po wojnie ofiarom wystawiono pomnik, a ulicę nazwano aleją 21 Października. Na miejscu egzekucji ufundowano tablicę. Egzekucja w Lesznie była elementem szerszego planu 29 IX 1939 r. Artur Greiser wydał wytyczne w zakresie publicznych rozstrzeliwań. Zgodnie z tą dyrektywą w październiku 1939 r. odbywały się masowe egzekucje. Szczególnie tragicznie zapisały się trzy dni 20, 21 i 23 października. Doszło wówczas do masowych egzekucji w wielu powiatach. Archiwum Państwowe w Lesznie, Jerzy Zielonka – spuścizna (dziennikarz „Panoramy Leszczyńskiej"), sygn. 51; Edward Serwański, *Wielkopolska w cieniu swastyki,* Warszawa 1970, s. 48–49.

znanych mi osobiście: Józefa Kaczmarka, Andrzeja Kociuckiego i Pawła Mikołajczyka. Niemcy teraz stale trzymają zakładników. Mój teść – Szczepan Stróżycki – siedział dwukrotnie w budynku obecnego II LO[10].

Niemcy już od pierwszych dni tak terroryzowali, zastraszali i „przydusili" Polaków, że nie mieliśmy sił do kontrakcji. Wszystkich opanował złowrogi strach. Dopiero po upływie pewnego czasu otrząsnęliśmy się i zaczęliśmy się organizować.

W grudniu na stanowisko Ortsbauernführera przyszedł do Pawłowic młody Niemiec z Krzemieniewa, Ernst Heider[11]. Teraz nastąpią pewnie nowe porządki i zacznie się wywłaszczanie. We wsiach, gdzie przed wojną byli Niemcy, wyrzuca się Polaków, a ich gospodarstwa i inwentarz przejmują sąsiedzi – Niemcy.

11 grudnia pierwsze wywłaszczenie w Pawłowicach[12]. Niemcy do GG wywieźli sklepikarzy – Józefa Janiaka i Stanisława Żalika oraz żonę nauczyciela – jeńca oflagu – Czubakową z matką. Nazajutrz zabrali dwóch młodych nauczycieli: Kędziorę i mojego kolegę ze szkoły Wenancjusza Friebego (uciekł potem z GG przez Węgry i Jugosławię do Francji, gdzie

[10] Chodzi o budynek przy placu Kościuszki w Lesznie, obecnie mieszczący LO nr III.

[11] Ernst Oskar Heider, szewc z Drobnina. Miał wówczas 31 lat. Zamieszkał w domu obok poczty. Następnie przywłaszczył sobie gospodarstwo Franciszka Ratajczaka (koło przejazdu kolejowego). Jarosław Wawrzyniak, *700 lat Pawłowic*, Krzemieniewo 2010, s. 74.

[12] J. Wawrzyniak podaje, że wysiedlenia miały miejsce 8 grudnia 1939 r. J. Wawrzyniak, *700 lat..., s.* 74.

walczył w czerwcu 1940, był ewakuowany do Anglii, a w roku 1944 brał udział w inwazji i wojował do końca kampanii w dywizji gen. Maczka jako dowódca kompanii czołgów). Słyszałem, że policja pytała o mnie. Co tu robić, uciekać – ale dokąd? Pozostało chowanie się w sianie.

Autor pełen optymizmu, mimo wszystko, Pawłowice, 29.06.1940 r.

1940

Okupacyjna rzeczywistość

Teraz żyjemy w ciągłym strachu przed wywłaszczeniem. Stale jesteśmy w pogotowiu, najważniejsze rzeczy i dokumenty są spakowane w workach. Wszyscy już wiemy, że Niemcy czasu na pakowanie nie dają. Swoją skromną biblioteczkę zapakowałem w suchym miejscu w stodole. Potem często ją przenosiłem, aż w końcu ulokowałem u szwagra Walka, który pracował w warsztacie majątkowym, miałem więc nadzieję, że go nie wywiozą.

Od marca 1940 roku wszyscy podoficerowie muszą się meldować co niedzielę na posterunku policji w Krzemieniewie. Z Wojtkiem swoje stopnie zatailiśmy. W zależności od humorów żandarmów zajęcia (sprawdzanie obecności, prace porządkowe, musztra) trwały kilkanaście minut, czasem kilka godzin. Kto się spóźnił, musiał po południu czyścić wychodki, rąbać drzewo i wykonywać różne prace dla Wachtmanów[13]. Do Krzemieniewa chodziliśmy pieszo, bo dobre rowery Niemcy odbierali. Nigdy nie przypuszczałem, że w naszej gminie jest tylu podoficerów. Zbierało się około stu chłopa. Musztrę wojskową prowadził polski sierżant z I wojny światowej. Początkowo było dużo zamieszania, bo młodzi nie znali niemieckich komend, ale później poniosła nas ambicja, chcieliśmy Szwabom pokazać, że polski żołnierz to nie gapa i ćwiczyliśmy jak na pokazach.

[13] Żandarmów.

Nie pamiętam dokładnie, od kiedy, ale potem nie musieliśmy więcej jeździć do Krzemieniewa. Było to po kilkakrotnym wywłaszczeniu.

Z Wojtkiem zachodzimy często do Szygułów – nauczycieli, z którymi kiedyś pracowałem. Grywamy w brydża, ale właściwie cały czas gada się o polityce. Po zwolnieniu polskich nauczycieli kierownik szkoły dostał pracę w jakimś urzędzie w Lesznie, a Szyguła pilnuje dzieci pracujących „na majątku" Mały Dwór.

Teraz dwa roczniki dzieci polskich uczy siostra sołtysa Heidera[14]. Pani nauczycielka sama ukończyła chyba nie więcej niż cztery klasy szkoły powszechnej, ale do dzieci polskich nadaje się. Nasze dzieci uczą się rachunków w zakresie do 500, mówienia, pisania i czytania po niemiecku. Za używanie języka polskiego na terenie szkoły groziła kara chłosty lub grzywna 50 pfenigów na Czerwony Krzyż. Dzieci języka niemieckiego nie opanowały jeszcze, toteż kary sypały się gęsto. Latem dzieci pracowały na roli, zbierały zioła lecznicze i owoce (np. liście jeżyn na herbatę). Zimą uczyły się w nieopalonych klasach. Utrzymanie czystości pomieszczeń i porządku

[14] 16 października 1939 r. wznowiono naukę w szkole. Polscy nauczyciele mieli uczyć po niemiecku. 4 marca 1940 r. szkołę ponowne zamknięto i zwolniono wszystkich pozostałych polskich nauczycieli. Wkrótce szkołę ponownie otwarto, zatrudniono wówczas dwie Niemki, córki kolonistów. Nauka ograniczała się do podstaw arytmetyki, języka niemieckiego oraz śpiewu niemieckich piosenek. Po roku w 1941 na ich miejsce przyszła siostra sołtysa Heidera. J. Wawrzyniak, *700 lat...*, s. 76; E. Serwański, *Wielkopolska...*, s. 204.

w obejściu należało do dzieci. Młodzi Niemcy uczyli się w pałacu i mieli wykwalifikowanych nauczycieli.

Widziałem „świadectwo" wystawione polskim dzieciom. Na kartce stwierdzenie, że uczeń taki a taki uczęszczał do szkoły w czasie „od-do", bez wykazu przedmiotów i ocen. W końcu i te „szkoły" dla polskich dzieci zlikwidowano.

A mnie zaczyna ciągnąć do dzieci. Ilekroć przejeżdżam obok szkoły, gdzie czasem jest przerwa z jej gwarem, śmiechem i bieganiną, tyle razy żółć mnie zalewa, że nie mogę być wśród dzieci, uczyć ich i wychowywać. Szkoła śni mi się po nocach. Dopiero teraz odczułem, co to jest zamiłowanie i powołanie do zawodu nauczycielskiego. Organizuję więc sobie w ramach pewnej rekompensaty prywatną szkołę, jak to się później nazywało – tajne nauczanie[15].

Od jesieni uczę siostrzeńców – Stasia i Celinę Ziarnkowskich. Siostra i szwagier mieszkają i pracują w Lesznie, a dzieci przebywają najczęściej u nas; na wsi łatwiej o żywność i mamy więcej czasu, aby się nimi zająć. Stasio chodził już do I klasy, a Celinka miała rozpocząć edukację w tym roku. Uczyłem ich czytać, pisać i rachować, patriotycznych wierszyków i piosenek. Chłopiec wykazywał duże zdolności plastyczne, uczyłem go więc także rysunku i lepienia

[15] Pierwsze niezorganizowane komplety powstały na przełomie lat 1939–1940. Były one przeważnie dwu- trzyosobowe. Dopiero w 1942 r. powstało w Lesznie zorganizowane tajne nauczanie. Kierowane było przez Tajną Organizację Nauczycielską z Warszawy. Uruchomieniem nauczania zajął się były nauczyciel Liceum Pedagogicznego w Lesznie, Władysław Rosochowicz. *Tajne nauczanie w Lesznie w czasie okupacji hitlerowskiej*, Leszno 1980 r., s. 8.

w glinie. Zakres nauczania i przedmiotów rozszerzał się z biegiem czasu. Po wojnie oboje bardzo szybko „przeskakiwali" klasy. Staszek został oficerem zawodowym, a obecnie jest redaktorem „Gazety Zielonogórskiej" i znanym nawet za granicą rysownikiem–satyrykiem. Celina po ukończeniu studiów pracuje w Urzędzie Wojewódzkim w Zielonej Górze. Systematycznie uczyłem też Mietka i Zdzisię S. Mieszkali oni na końcu wsi, aż pod stacją kolejową. Mieli oni starszą siostrę – Halinę, do której niby chodziłem. Było mi to na rękę, bo te częste odwiedziny u S. mogłyby się wydawać Niemcom bardzo podejrzane.

12 czerwca przyszedł do mnie Wojtek, taki jakiś przejęty i uroczysty, a to do niego absolutnie nie pasowało, bo z natury był wielkim kpiarzem, wyciągnął mnie w pole i odezwał się mniej więcej w te słowa: Wierzę ci, że nie zdradzisz i dlatego z pełnym zaufaniem mogę zapytać, czy jesteś gotów przystąpić do tajnej organizacji? Pierwszym moim odruchem był lęk o życie, ale wobec przyjaciela nic innego nie mogłem uczynić, jak się zgodzić. Nastraszył mnie jeszcze, że sprawa jest niebezpieczna i grozi gardłem. Tego byłem całkowicie świadomy. Złożyłem przysięgę na szkaplerzyk. Gdyby nie wielkie przejęcie, chyba bym się roześmiał. My we dwóch nigdy nie zamieniliśmy ze sobą poważnie jednego zdania, a teraz stoję wyprężony między zbożami i przysięgam, i co mnie bardzo uderzyło – Wojtek był wzruszony i miał łzy w oczach. W Lesznie powstała tajna organizacja typu wojskowego, jej celem jest przygotowanie walki zbrojnej oraz kadr do objęcia

Wojtek Patelka, który zaprzysiągł mnie do tajnej organizacji wojskowej, Pawłowice, 1941 r.

stanowisk administracyjnych zaraz po wyzwoleniu. Potem do pracy wciągnęliśmy zaufanych podoficerów. Na szkoleniach omawialiśmy sposoby walk w osiedlach, urządzanie zasadzek, maskowanie, organizowanie ubezpieczeń, udzielanie pierwszej pomocy, no i oczywiście zdobywanie broni, bo takiej nie mieliśmy[16].

[16] Najprawdopodobniej chodziło o powstającą w Lesznie z inicjatywy por. rez. Jerzego Handke, absolwenta Seminarium Nauczycielskiego w Lesznie, organizację konspiracyjną. Organizacja ta stała się bazą do utworzenia struktur ZWZ, a później AK. Sugestię taką można wysnuć w związku z tym, że Wojciech Patelka był oficerem rezerwy i nauczycielem, a takie osoby skupiała tworząca się organizacja. W. Handke, *Kryptonim „Ptaszarnia" 1939––1945. Inspektorat rejonowy ZWZ – AK Leszno*, Leszno 2009, s. 46–47.

Niestety, gdy później wywłaszczono wszystkich rolników, w tym i Wojtka, a także innych, nasza praca skończyła się. Nikt się potem do mnie w Lesznie nie zgłaszał, a Wojtek żadnych nazwisk nie zdradził. Po wojnie lepiej było nie przyznawać się do przynależności do tajnych organizacji (doświadczyłem tego przykro w maju 1945 w Warszawie podczas weryfikacji stopnia oficerskiego). Nikt tym nie chciał się chwalić. Dzisiaj, po upływie 40 lat, nie wiem nawet, co się dzieje z uczestnikami szkoleń wojskowych; rozjechali się, poumierali.

Teraz na wieś do krewnych zjechało wielu młodych ludzi – uczniów i studentów. Chcieli się gdzieś uczepić, ukryć i uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec. Między nimi są też atrakcyjne dziewczyny – Maria, Janka i Basia. Ja, Wojtek i Kazek – student architektury – umawiamy się z nimi, chodzimy na spacery, żartujemy i przekomarzamy się. Jest nam ze sobą bardzo dobrze. Potworzyły się sympatie i parki: ja z Marysią, Wojtek z Janką, Kazek z Basią. Wojtek ma dużo czasu, bo końmi robi jego ojciec i dlatego on organizuje randki. W niedziele, bo tylko wtedy mam czas, chodzę z Marysią polnymi ścieżynami, jest piękna pogoda, zielono i ciepło. Jesteśmy młodzi i szczęśliwi, mówimy sobie o miłych rzeczach, ba, nawet snujemy plany na przyszłość. Ani się obejrzysz, jest już wieczór. Na koniec spotykamy się jeszcze z Janką i Wojtkiem, i z przekonaniem stwierdzamy, że życie jest piękne. Bardzo często ucinamy sobie z Wojtkiem pogaduszki, siedząc lub chodząc po zapłociu nieraz do północy, o sprawach sercowych (zawojowały nas dziewuchy), polityce,

Spotkanie towarzyskie w lesie pod Poniecem z muzyką, tańcami i jedzeniem. Na przekór Niemcom! Lato 1940 r.

Młodzi „praktykanci" na nauce u doświadczonego rolnika, Pawłowice, 29.06.1940 r.

szkoleniu wojskowym. Nie zawsze zgadzamy się, czasem rozpalonych dyskusją przepędzał nas deszcz lub komary. Te młodzieńcze randki, te pogaduszki na zapłociu pamiętam najwięcej, zapadły bardzo głęboko w serce.

Wieści z frontu coraz gorsze. Przeciwnie do naszych przewidywań, Francja i Anglia nie uderzyły na Niemców, a właśnie oni prowadzą zwycięską ofensywę. 14 czerwca mówił mi leśniczy, że podobno padł Paryż. 18 czerwca potwierdza się ta tragiczna dla nas wiadomość. Nie możemy pojąć tego, co się dzieje: bogata, dobrze uzbrojona, z Linią Maginota Francja, wspierana przez Anglię, pokonana została w czasie krótszym niż Polska. Słaba to dla nas pociecha, że biliśmy się lepiej i dłużej. Co teraz będzie, kto jest w stanie pokonać Niemców, kiedy odzyska-

„Koncert" na tle stogu. Wtedy nie było u nas jeszcze Niemców. Na zakończenie zawsze „Jeszcze Polska nie...", Pawłowice, 11.07.1940 r.

my wolność? W to, że Polska będzie wolna, nikt z nas nie wątpił. Mimo wszystko.

Zaczynam być rolnikiem i – jak mówią sąsiedzi – dobrym. Douczam się na serio u urzędnika gospodarczego na Małym Dworze. Najbardziej lubię pracę w polu. Za miedzą Wojtek pomaga ojcu. Siadamy na miedzy, kurzymy skręty z samosiejki i gadamy, a ciekawych tematów mamy krocie. Gdy ruszam za pługiem, Wojtek idzie za mną, ciągle mamy za mało czasu na omówienie nurtujących nas tematów.

Wojna przeciąga się. Końca nie widać. Światlejsi rodzice zwracają się do mnie z prośbą, abym poradził, jak uczyć dzieci pisać i czytać. Starsze chodzą jeszcze do szkoły. Radzę więc rodzicom, jak uczyć. Sam też uczę. Muszę to robić ostrożnie i w tajemnicy, bo wszyscy tu wiedzą, że jestem

nauczycielem, Heider też, tytułuje mnie przecież per „Herr Lehrer”[17]. Potem, gdy zamknięto szkołę dla polskich dzieci, miałem coraz więcej uczniów.

20 czerwca kosimy łąki w Robczysku, Wojtek mi pomaga. Zaczęliśmy już o 4.00. W południe koniec. Wojtek pomógł sąsiadowi, ja rozrzuciłem świeże pokosy, wykąpaliśmy się w kanale i skok w cień pod wierzby. Upał straszny, niebo bez chmurki, żaden listek nie drgnie, nawet ptaszki nie śpiewają. Trawa wysycha momentalnie, roznosi się w powietrzu ciężki, ale miły zapach świeżego siana. Wracając do domu wpadliśmy po drodze do naszej Janki na truskawki i umówić się na niedzielę. Byłoby pięknie, tylko ta polityka. Niemcy podnoszą głowy, śmieją się, wiadomo – Francja, Belgia, Holandia na kolanach, Anglia w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a my w żałobie.

25 czerwca przyszedł cynk od leśniczego (był Volksdeutschem, miał żonę Niemkę), że dzisiejszej nocy Niemcy planują zabrać kilku młodych na roboty. Skrzyknęliśmy z Wojtkiem paru znajomych i na noc z kocami poszliśmy do „brzózek”. Przy okazji poćwiczyliśmy nocny wypad wojskowy. Nad ranem zrobiło się zimno, spadła rosa, biegaliśmy więc po lasku dla rozgrzewki. Część chłopaków poszła rano do domu. Wojtek, Kazek i ja ukryliśmy się w dużym łanie żyta pod lasem. Rychło doszlusowały do nas nasze dziewczyny; też spały poza domem. Było fajnie, ale pod wieczór czuliśmy się zmęczeni. Wieczorem wróciliśmy do domu. Alarm był fałszywy; nikogo w nocy nie zabrano.

[17] Pan nauczyciel.

29 czerwca święto Piotra i Pawła. Nabożeństwa nie ma, ale my nie pracujemy. Cały dzień graliśmy w skata u Wojtka pod wielką gruszą. Wieczorem wypędziły nas komary. Po kolacji z Wojtkiem na zapłociu polityczno-społeczno-sercowe rozmowy, plany na przyszłość i jak on to mówi: „obszczekanie wszystkiego i wszystkich".

Zabieramy się do żniw. Przyjechały siostry, szwagrowie i bracia, robota pali się nam w rękach. Sprząta się kosami. Wokoło roznosi się charakterystyczny, a tak miły dla ucha dźwięk ostrzonych osełką kos. Na każdym polu wre praca, krzątanina, rozchodzą się nawoływania i żarty. W czasie posiłków rozsiada się bractwo na miedzach i snopach, je i gawędzi. Piękne, gwarne i wesołe są te nasze żniwa. Co prawda pot leje się z czoła, ale pracuje się jeszcze na swoim, tylko... nie dla siebie. I to, i niepewne czasy napawają nas lękiem i zgryzotą. Sąsiedzi i inni stale pytają, kiedy skończy się wojna, przecież ja, nauczyciel, muszę wiedzieć. Przykro mi, ale wiem tylko tyle, ile wiedzą inni, czyli nic, ale pocieszam jak umiem. Mam małe radio z kryształkiem na słuchawki ukryte w sianie i nocą słucham wieści ze świata. Przekazuję to potem innym. Na wieczorne pogwarki polityczne przychodzą do nas sąsiedzi: Jan Grobelny, Kasper Borowiak, Ksawery Cichoński i inni. Podziwiam ich patriotyzm, wiedzę i orientację w polityce.

Nasze rozmowy dotyczyły także bardzo przyziemnych spraw. Zagadnieniem, które nas bardzo absorbowało, była uprawa tytoniu. Na kartki otrzymaliśmy niewiele papierosów. Niemcy pozwalali dorosłym Polakom hodować 25 sadzonek bez podatku.

W przydomowych ogródkach rosło sobie 25 sztuk, a w polu w ziemniakach i burakach drugie tyle lub więcej. Przez wiele lat po wojnie rosło to jako zielsko na polach i w ogrodach (płaciło się za to grzywnę). Nie na darmo nazywaliśmy nasz tytoń „samosiejką". A jakie to przedziwne gatunki hodowaliśmy: żółto kwitnącą tabakę o małych okrągłych liściach, długolistną różową „wirginię", różne odmiany, o różnych smakach i zapachach. Kwitł handel wymienny nasionami i sadzonkami. Rozmowy palaczy dotyczyły sposobów nawożenia, suszenia liści, fermentacji itp. A jakie zmyślne maszyny do krojenia tytoniu i produkcji papierosów konstruowano!

Wytwarzano też bimberek. Z braku innych szlachetniejszych surowców samogon pędzono przede wszystkim ze słodkich, białych wytłoków buraczanych. Muszę tu jednak sprawiedliwie wyznać, że pijanych nie widziało się u nas nigdy. Wódkę robiono na uroczystości rodzinne i handel wymienny, również z Niemcami.

Wiele kłopotów mieliśmy z oświetleniem. Nie przypominam sobie, czy nafta była na kartki, ale chyba tak. Stale jej brakowało, natomiast karbidu było pod dostatkiem. Wymyślali więc Polacy lampy-karbidówki, istne cuda techniki, wspaniałe rękodzieła o zmyślnej budowie, a każda inna. Jaka szkoda, że nie zbierałem tych okazów. Pomysłowość Polaków w potrzebie była godna podziwu.

Zawsze brakowało nam mydła. Na przykład było mydło i chociaż ładnie pachniało, to jednak nie pieniło się i brudu nie usuwało, zacierało się na rękach. Ciężko było z praniem, a wszyscy pracowaliśmy na

roli i przy bydle, więc bielizna i odzież brudziły się szybko. Co w takiej sytuacji robili Polacy? Produkowali mydło! Nasza matka zbierała skrzętnie wszelkie odpadki tłuszczu, skóry, chrząstki, ścięgna i łój, gotowała z sodą żrącą, wylewała całą zawartość do formy i po skrzepnięciu cięła na kawałki. Mydło to było szare i wydzielało niemiły zapach, ale pieniło się pięknie i świetnie nadawało się do prania, a nawet do mycia.

Ciekawe spotkania odbywały się u fryzjera – Franka Kubiaka. Miał małą izdebkę, w której strzygł i golił. Zawsze było pełno chłopstwa. O żniwach to się tam nie gadało – tylko polityka. Czasem wpadał Heider, pewnie na przeszpiegi, ale wystawiona czujka zawsze na czas nas ostrzegała. Czekając na kolejkę grało się także w karty.

Miejscem spotkań był także wiatrak Adama Piotrowiaka. Zanosiło się worek zboża na ześrutowanie i była okazja do pogadania, bo przeważnie ktoś tam był. Czekając na przemiał, politykowało się. Rychło Niemcy wiatrak zamknęli i opieczętowali. Rozkazali też zniszczyć żarna, ale o ile wiem, nikt tego nie zrobił.

Na wiatrak chodziłem nie tylko po śrutę i na pogaduszki. Wstyd przyznać, ale wiatrakiem byłem zauroczony od dziecka. Być może dlatego, że młyn ten należał kiedyś do dziadka, ale chyba więcej z powodu ciągot do mechanizmów. Siedziałem sobie na worku i wsłuchiwałem się w skrzyp drewnianych kół i mowę starego wiatraka. Jak on się męczył, gdy był słaby wiatr, jak stękał, wydawało się, że już, już stanie, ale zawiał silniejszy wiatr i wiatrak ożył.

Wsłuchany w tajemnicze głosy, chwiałem się razem z młynem, stałem się jakby jego częścią. Ciekawe, ale na wiatraki nigdy nikt nie krzyczał, ba, głośno się nie rozmawiało.

Właściciel wiatraka zmarł na „galopujące suchoty" w październiku. Odwiedziłem go, gdy był już poważnie chory. Opowiadał mi, że zapalenia płuc nabawił się na skutek głupiego przypadku. Był w Luboni u narzeczonej i wracał dosyć późno. Natknął się na niemiecki patrol, a że nie chciał, żeby go złapali, zaczął uciekać. Naturalnie tamci go gonili. Udało mu się zmylić ślady i ukryć w jakiejś szopce. Był silnie spocony i u kresu sił. W szopce w zimną noc przesiedział do rana. Już nazajutrz dostał silnej gorączki i zapalenia płuc. Potem wszystko poszło szybko. Nie było antybiotyków. Pogrzeb odbył się pod koniec października.

14 lipca brat Maksymilian, który ze stalagu został przeniesiony do pracy w majątku i zaczął zarabiać, przysłał mi maleńki akordeon. Wieczorami stale gram, a na zakończenie zawsze kołysankę Brahmsa. Matka tak przyzwyczaiła się do kołysanki, że gdy mnie nie ma w domu, nie może zasnąć.

W Robczysku w szkole jest obóz jeńców francuskich[18]. Niemcy traktują ich dosyć znośnie. Przechodziłem kiedyś w niedzielę przez Robczysko z dziewczyną. Przystanęliśmy, by zrobić do nich „oczko". Siedzieli na boisku szkolnym, a jakaś grupa „odsta-

[18] Oddział roboczy jeńców francuskich obozu w Żaganiu – Kommando Stalag VIII C Sagan. *Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939–1945. Informator encyklopedyczny*, Warszawa 1979, s. 425.

wiała" występy z muzyką i monologami. Musiało to być bardzo wesołe, bo zaśmiewali się do łez. My też śmialiśmy się, choć nikt z nas nic nie rozumiał. Potem Francuzów gdzieś wywieziono.

W Robczysku byli też Żydzi[19]. Kopali rowy melioracyjne na łąkach. Maltretowani i niedożywieni wyglądali jak cienie. Słyszałem, że kiedyś kilku uciekło. Niemcy rychło ich wyłapali i urządzili pokazowe wieszanie. Zwieźli Żydów z sąsiednich obozów, a potem skazani sami musieli się wieszać. Odbyło się to na skraju lasu koło Robczyska. Szubienica stała tam dłuższy czas, widziałem ją jeżdżąc do lasu po piasek. Nie mogło nam się pomieścić w głowie, że ludzie ludziom mogą takie bestialstwa z piekła rodem robić. Udzielanie pomocy Żydom było zakazane pod karą śmierci. Nie wolno było nawet zbliżyć się do nich. Podobno mieszkańcy Robczyska podrzucali nocą żywność w rowach, gdzie pracowali więźniowie, ale czy biedacy mogli to wykorzystać, nikt nie wie. Gdy melioracja była skończona, Żydów gdzieś wywieziono.

11 października zabrano na Arbeitsamt[20] 12 chłopaków z Pawłowic, wśród nich Wojtka. Załamałem się kompletnie. Co ja teraz sam będę robił? Tyle pięknych chwil przeżyliśmy razem, on był inicjatorem randek, z nim często do późnej nocy prowadziliśmy ciekawe rozmowy i dyskusje. Rwie się wszystko i psuje.

---

[19] Obóz pracy dla Żydów. Wykonywali roboty wodno-melioracyjne. W 1941 roku liczba więzionych Żydów wynosiła 113 osób. *Obozy pracy przymusowej dla Żydów w Wielkopolsce w latach okupacji hitlerowskiej (1941–1943),* Poznań 2005 r., ss. 82, 255.

[20] Urząd Pracy.

Dobijają nas obwieszczenia rozwieszane na bramach, donoszące o rozstrzelaniach „polnischen Banditen", są podane nazwiska i miejsca zamieszkania skazanych. Niektórych znamy. Wiszą też listy gończe.

9 listopada wywłaszczanie w sąsiednich wsiach. Rozpacz nas ogarnia. Mieliśmy nadzieję, że do wiosny będzie spokój.

Gdy nie ma Wojtka, coraz częściej spotykam się z bratankiem proboszcza – Kazkiem Śramkiewiczem – studentem architektury Politechniki Lwowskiej. Wtajemnicza mnie w arkana sztuk plastycznych i uczy oceniać wartość dzieł. Sam maluje, gdy ma czas. Jak na ironię Niemcy przydzielili go za robotnika do murarzy. Po wojnie był profesorem malarstwa na jednej z uczelni plastycznych.

25 listopada apel z końmi i wozami połączony z przeglądem i poborem koni do wojska. Kilku rolnikom konie zabrano. Moje szkapiska stare do wojska nie nadają się, mamy przynajmniej spokój.

12 grudnia znów wywłaszczenie rolników w okolicy. Siedzimy jak na rozżarzonych węglach, żyć się nie chce. Nasze worki musimy raz po raz przepakować. Ubrania i bieliznę przechowuję u siostry Celiny. Zaniosłem też do niej akordeon, album i mój pamiętnik. Wieczorami zachodzę do Rybińskich, by sobie pogadać ze szwagrem, poczytać, pograć na akordeonie i uzupełnić pamiętnik.

Krótko przed gwiazdką obiegła wieś wiadomość, która nami wstrząsnęła. Jeden z Polaków, Franciszek Cugier, odważył się zabić świnię bez zezwolenia. Dowiedział się o tym Ortsbauernführer i doniósł na Gestapo. Zabrali go i osadzili w obozie

koncentracyjnym. Myśleliśmy wówczas naiwni, że za zabicie świni posiedzi kilka tygodni i wypuszczą go, tym więcej, że był inwalidą spod Verdun. Po kilku miesiącach rodzina dostała zawiadomienie, że zmarł.

Jest zima, a nie mamy opału. Palimy w piecach słomą. Pojechałem z matką do Leszna. Właściciel składu opałowego – Rothe – był z naszym ojcem na froncie, więc po znajomości liczyliśmy na to, że dostaniemy trochę węgla. Początkowo nie chciał z nami w ogóle gadać, ale gdy matka pokazała mu fotografię, na której jest i on, i nasz ojciec, trochę węgla sprzedał.

Jeździmy też do lasu po chrust. Teraz, gdy jest mniej pracy, zabiorę się do wywalania wierzb. Stoi ich kilkanaście przy naszym polu na świerczyńskiej drodze. Wszyscy teraz wierzby rudują[21], wkrótce będzie pusta, smutna martwa droga. Boję się tej roboty; wierzby stare, grube i na domiar rosną w kamieniach. Krwawa to będzie robota, jeszcze krwawsze rąbanie. Gdyby Wojtek był w domu, miałbym pomoc.

Wojtek przyjechał na święta, jest parobkiem u bambra pod Głogowem. Cały czas razem. Wspominamy kochane czasy przedwojenne – kiedy to byliśmy piękni i młodzi – tegoroczne miłe randki, oceniamy sytuację wojenną. Wojtek mówił, że będzie robił wszystko, aby bamber się zdenerwował i wyrzucił go.

W Sylwestra siedziałem w domu sam. Ani nabożeństwa, po którym były zawsze jakieś miłe

[21] Rudować – wycinać drzewa i oczyszczać teren z pozostałości po drzewach.

spotkania i spacery w śniegu, ani przyjaznej duszy, nie ma nawet dziewczyny, bo Niemcy nasze sympatie powywozili na roboty. Końca wojny nie widać, żadne prorokowane terminy nie sprawdziły się. Teraz cała nasza nadzieja w Ameryce i Rosji, co do której nic jeszcze nie wiadomo, ale wierzymy, że prędzej czy później dojdzie do konfliktu, a wtedy Niemcom będzie krucho; zgubią ich bezkresne przestrzenie.

Wielkie wywłaszczenie

W lutym wrócił Wojtek. Narozrabiał, udawał wariata i bamber przepędził go. Wielka radość, ale jak długo jeszcze się uchowamy?

Wypadła na mnie kolejka odwożenia mleka do Leszna. Na drogach pełno śniegu, toteż jadę saniami. W mleczarni jak zawsze wielki bałagan. Wszyscy się śpieszą i przez to jeszcze gorzej. Furmani – Niemcy mają pierwszeństwo i musimy ich przepuszczać. Stąd zamęt i niepotrzebne zatarcia. Głodny i zły wróciłem dopiero wieczorem.

W odwiedzinach u siostry, Leszno, 26.01.1941 r.

W tym roku (1941) spadło dużo śniegu. Wiatry nawiewają z pól całe masy i we wsi potworzyły się olbrzymie zaspy; gromadą je przekopujemy. Jest przy tym kupa śmiechu i wiadomo – polityka. Ze śniegiem mamy zajęcie przez dłuższy czas, bo często pada i stale jest przez wiatry znoszony z pól. W domu teraz specjalnej pracy nie ma, więc przy śniegu można się pośmiać, pogawędzić i rozerwać.

Wieczorami mam dużo czasu. Ze szwagrem Walkiem skonstruowaliśmy tokarkę i teraz z zapałem

W odwiedzinach u siostry. Na zdjęciu Ziarnkowscy z dziećmi, Leszno, 26.01.1941 r.

toczę szachy, grzybki do cerowania i inne drobiazgi. Robię też i naprawiam kołowrotki do przędzenia. Braki w wełnie uzupełnia się różnymi sposobami. Ludzie wykupują takie białe sznurki (pewnie od snopowiązałek), szarpią je i potem na kołowrotkach przędzie się to. Z tej zastępczej włóczki robi się swetry, skarpety i rękawiczki. Sztywne to, ale ciepło trzyma. Tę piękną dzianinę barwi się na różne odcienie od beżu do brązu, gotując w wodzie z łuskami cebuli.

Po Bożym Narodzeniu na wsi drze się pierze. Wieczorami schodzą się sąsiadki i pomagają. Jest wesoło; kobiety przy darciu pierza śpiewają stare piosenki, opowiadają różne klechdy i plotkują. Chłopy grają w karty. Na zakończenie odbywa się tak zwane „pierne wesele". Jest placek, kawa, nawet

trochę wódki. Byłoby nie najgorzej, gdyby nie widmo wywłaszczania lub jeszcze co gorszego.

Często przyjeżdżają do nas szwagrowie i bracia z Ponieca i Leszna. Wiadomo, w miastach bieda, my na wsi co jakiś czas zabijamy „lewą" świnię, są jajka, mąka zrobiona na żarnach, mięso z królików i jakoś się żyje. Matka wspiera wszystkich, jak może. Powiedziała, że w razie wpadki ze świnią bierze wszystko na siebie, jest stara, a nas młodych byłoby szkoda, całe życie mamy przed sobą. Nasze matki były prawdziwymi bohaterkami gotowymi oddać życie za swoje dzieci.

Brat Leon bardzo się boi przewozić rowerem mięso, ale bieda i głód zmusi do wszystkiego. Ja kiedyś przeżyłem chwilę grozy. Jechałem saniami do Ponieca na młyn. Pod siedzeniem miałem mięso dla siostry. Przed miastem koło tartaku stał policjant z psem. Pomyślałem sobie – alem wpadł, a może i przepadł. Nie wiem, czy sanie przesiąknięte były jakimś zapachem, czy co, dość, że pies nic nie wywąchał. Policjant sprawdził kartę przemiałową i puścił mnie wolno. Gorzej wpadł mój szwagier Walek. Znalazł się w takiej samej sytuacji, ale miał pecha, policjant mięso znalazł, a to groziło obozem. Szwagier nie stracił głowy i spytał rezolutnie, komu ma to mięso dostarczyć. Policjant podał adres swojej żony. Szkoda było mięsa, ale cieszyliśmy się z takiego zakończenia.

W marcu 1941 Ortsbauernführer[22] zarządził zbiórkę szmat i makulatury, i wyznaczył do tego

[22] Sołtys.

m.in. mnie i Wojtka. Ja przez wieś jechałem wozem, a Wojtek „nośpłat”[23] wynosił z domów, co mu ludzie dawali. Przy okazji odłożyłem sobie kilka książek pod siedzenie; było wśród nich I wydanie wierszy Franciszka Morawskiego. W ten sposób ocaliłem parę polskich książek przed zniszczeniem. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z niebezpieczeństwa, jakie mi groziło. Później dowiedzieliśmy się, że za podobną sprawę poszedł ktoś do więzienia (zabrał starą kurtkę i rękawice).

Jadąc 14 marca do Leszna dowiedziałem się o wywłaszczeniu w całym powiecie. Z Pawłowic zabrano oficjalistów dworskich i kilku robotników z majątku. Z powiatu podobno około 2 tysięce osób. W Lesznie ruch, zwożą wywłaszczonych. W mieście spotkałem kolegę z seminarium, mówił, że z naszego rocznika na wojnie zginęli: Józef Zajdel, Antoni Kustosz, Stefan Molenda, Zygmunt Maciejewski. Wielka szkoda tych miłych kolegów i dobrze zapowiadających się młodych nauczycieli.

18 kwietnia wywłaszczono resztę rolników w Nowej Wsi i Łoniewie. Ogarnęła nas apatia, żadna robota nie idzie.

Pod koniec kwietnia coraz natarczywiej krążą pogłoski, że niedługo Niemcy uderzą na Rosję. Obserwujemy ogromny ruch pociągów z wojskiem i sprzętem bojowym na wschód.

Na początku maja przez trzy dni padał obfity śnieg, wszędzie biało, od ciężaru łamały się gałęzie

[23] Nośpłat – handlarz szmatami, starzyzną. Określenie regionalne.

drzew. Pod koniec maja i na początku czerwca przymrozki, w dzień świeci słońce i jest ciepło.

13 maja o świcie czekałem w pawłowickim lesie na węgiel. Szwagier Staszek – maszynista kolejowy – obiecał zrzucić go z parowozu. Towarowy pociąg wlókł się wolno, obsługa polska, więc wielkiego ryzyka nie było. Do rowu obok toru spadały duże bryły węgla. Wszystko przeniosłem natychmiast kilkaset metrów, na nasze pole i ukryłem w zbożu. Zastanawiałem się później, czy to była kradzież. Nigdy bym coś podobnego nie zrobił w normalnych warunkach, ale wtedy byliśmy z winy okupanta bez opału. Była to też forma małego sabotażu.

22 maja, Wniebowstąpienie. Święto zniesiono, ale my naturalnie na złość Niemcom nie pracujemy. Z Wojtkiem poszliśmy do lasu robczyskiego niby na majówkę, a właściwie chcieliśmy pogadać sobie ze znajomym leśnikiem i ewentualnie kupić taniego drewna. Było bardzo parno, zbierze się pewnie na burzę. Wojtek został z leśniczym, a ja pośpieszyłem do Gabrieli, którą niedawno poznałem. Chodziliśmy po łąkach i lasach, opowiadaliśmy sobie o błahych, ale miłych dla nas sprawach i dopiero pomruki zbliżającej się burzy wypędziły nas do domu. Nagle zrobiło się ciemno, tylko co chwilę rozdzierały niebo oślepiające błyskawice. Lunął deszcz. Z podniesionym kołnierzem gnałem do domu. Na drodze pod Pawłowicami zatrzymało mnie dwóch uzbrojonych Niemców, zaczęli mnie wypytywać i legitymować, nie spieszyli się zbytnio, mieli peleryny, mnie zaś woda spływała po plecach. Byli z sąsiedniej wsi i poznali mnie. Dzięki temu, a może i dzięki ulewie,

puścili mnie wolno. Byłem wściekły na wszystko i wszystkich – ja, Polak, we własnym kraju nie mogę rozporządzać swoim losem, a jakieś przybłędy prostaki legitymują mnie. Uspokajałem sam siebie, że długo to już nie potrwa, tylko nie dać się sprowokować.

W Zielone Świątki, jak w każde święta, zjechało do matki wielu gości. Z braćmi i szwagrem „łupaliśmy" w karty do północy. O godzinie 3.00 alarm strażacki. Popędziłem z innymi z łopatą i wiadrem na plac zbiórki przed kościołem. Po sprawdzeniu obecności przez Heidera było dużo gadania i bałaganu, trochę ćwiczeń, a wszystko wlokło się do 5.30. Potem ani to spać, ani co robić, wyrzuciłem więc gości z łóżek i poszliśmy na majówkę. Cisza, słychać tylko pianie kogutów, niebo bez chmurki, rosa i rześkie powietrze, chce się oddychać pełną piersią. Całe drugie święto karty, jedzenie i polityczne rozmowy.

7 czerwca wracałem sobie z „lekcji" zapłociem, naturalnie po Polizeistundzie[24]. Było jasno, chyba świecił księżyc. Nagle z drogi od „gościńca", zarosłej gęstymi drzewami, wyjechał na mnie konno Heider. Na ucieczkę lub ukrycie się było za późno. Zapytał, gdzie byłem i dlaczego po nocy się włóczę, a chyba wiem, że nie wolno. Odpowiedziałem, że byłem u panny i tak się jakoś przeciągnęło, a nie mam zegarka. Zapytał jeszcze, czy z panną było „coś takiego" i zrobił wymowny ruch rękoma. Przytaknąłem dla świętego spokoju, bo co mogłem innego w tej sytu-

[24] Godzina policyjna.

acji zrobić, a on roześmiał się rubasznie, ale zaraz przygroził, żeby to było ostatni raz. Nasz sołtys często jeździ konno (stary ułan z 17 p.u.) po „swoich włościach", kontroluje i szpieguje.

Dzień 19 czerwca można nazwać czarnym czwartkiem Pawłowic. Już o godzinie 3.00 zjechała horda policji, SS i SA i zaczęli wyrzucać rolników: J. Juchockiego, J. Katarzyńskiego, W. Rozwalkę, Wł. Dudziaka, St. Jakubowskiego, P. Kaźmierczaka, T. Tobołę, W. Patelkę, J. Jaraczewskiego, Fr. Skórzewskiego, J. Chudzińskiego, Wł. Fortuniaka, J. Galona, St. Kubiaka, T. Łaszczyńskiego, W Kozłowskiego, St. Chudzińskiego, J. Pędziaka, J. Przybyła, L. Wilczkowiaka i Walasiaka. Wywłaszczono według jakiegoś klucza – na jednym końcu wsi został J. Sobczak, a na drugim J. Hałasiński i w środku siedmiu rolników, wśród nich i my.

Ci, którzy pozostali, odwozili wywłaszczonych. Podjechałem pod dom Wojtka. Jadąc niby kiepkowaliśmy i pocieszaliśmy się, że niebawem powrócą na dobre, ale w pewnym momencie Wojtek zaczął szlochać, w ogóle wszyscy płakali – i ci wywożeni, i ci, którzy jeszcze pozostali. Jechaliśmy długim sznurem przez Kociugi do Krzemieniewa, gdzie był punkt zborny z całej gminy, a potem do Leszna. Tam nastąpił wyładunek. Serdecznie pożegnałem się z Wojtkiem i jego rodzicami. Skończył się dla nas pewien etap życia. Tyle miłych chwil przeżyliśmy razem. U Patelków czułem się jak w rodzinie (nasze matki były kuzynkami). Wszystko skończyło się – skat, spacery z dziewczynami, politykowanie i zabawa w wojnę.

Na miejsce Polaków przyjechało 8 rodzin (mniej niż 30 osób) z Mołdawii-Besarabii[25]. Wywłaszczono ponad 100 Polaków. We wsi pustki, nowi właściciele urządzają się. Nazajutrz pojechałem w pole po koniczynę dla bydła. Cisza, żywej duszy nie widać, a nie tak dawno było tu tyle gwaru, śmiechu i krzątaniny. Płakać się chce.

W niedzielę 22 czerwca zjawił się u mnie... Wojtek. Nie wywieźli ich do GG. Część Polaków wysadzono w Lesznie i kazano poszukać sobie mieszkania i pracy. Patelkowie zamieszkali u córki. Wojtek nie chce pracować u bambra, na Arbeitsamcie poprosił o pracę w fabryce. Odradzałem mu to, ale uparł się i koniec.

Słuchając w nocy radia, dowiedziałem się, że Niemcy napadli na Związek Radziecki. Nasze akcje idą w górę.

---

[25] Akcję przesiedleńczą Niemców ze wschodnich obszarów Europy przeprowadzono w czterech wielkich fazach. Z początkiem listopada 1939 r. sprowadzono Niemców bałtyckich z terenów Łotwy i Estonii, . W połowie 1940 r. przesiedlono Niemców z Wołynia, Galicji i rejonu Narwi. Trzecią grupę w początkach września 1940 r. przesiedlono z Chełma i Lubelszczyzny, czwartą akcję zorganizowano jesienią 1942 r. i dotyczyła Niemców z Besarabii i Bukowiny. Na przełomie lat 1943/1944 sprowadzono Niemców rosyjskich znad Morza Czarnego i rejonu Żytomierza. E. Serwański, *Wielkopolska*, s. 150. Do Pawłowic Niemcy z Besarabii zostali sprowadzeni już w 1941 r., o rok wcześniej, niż podaje główna fala przesiedleń W. Serwański. Osadnicy z Besarabii słabo mówili po niemiecku, kilka rodzin pochodziło z tej samej miejscowości Leipzig w Besarabii (Lemke, Hülscher, Jeschke, Neuman). Byli wyznania ewangelicko – luterańskiego. Zajmowali 3–4 gospodarstwa po wysiedlonych Polakach. J. Wawrzyniak, *700 lat...*, s. 78.

Krótko przed wyjazdem w pole. Pracujemy jeszcze na swoim, Pawłowice, 12.04.1941 r.

Jest ładna pogoda i co niedzielę spotykam się z Gabrielą. Te spacery i beztroskie rozmowy są jedynymi chwilami zapomnienia koszmaru okupacji i innych strasznie poważnych i strasznych rzeczy. Żyje się teraz od niedzieli do niedzieli.

29 czerwca po mszy łapanka. Wokoło kościoła ustawił się kordon policji, SS i SA z psami. Kilku zbirów weszło do kościoła. Każdy Polak musiał okazać się kartą pracy. Kto tego nie miał, został zatrzymany. Potem kilku z nich wywieziono na roboty. Oj, przepłoszyli nas Niemcy, przepłoszyli! W następne niedziele chłopy do kościoła już nie chodziły.

Ci rolnicy, którzy pozostali, wykonują teraz czarną robotę za całą wieś. Ciągle gdzieś jeździmy, a własna praca leży. We żniwa pracować będziemy także w niedzielę, tak nakazał sołtys.

Nocami słucham radia. Wiadomości z frontu wschodniego bardzo złe, wręcz tragiczne. Do diabła,

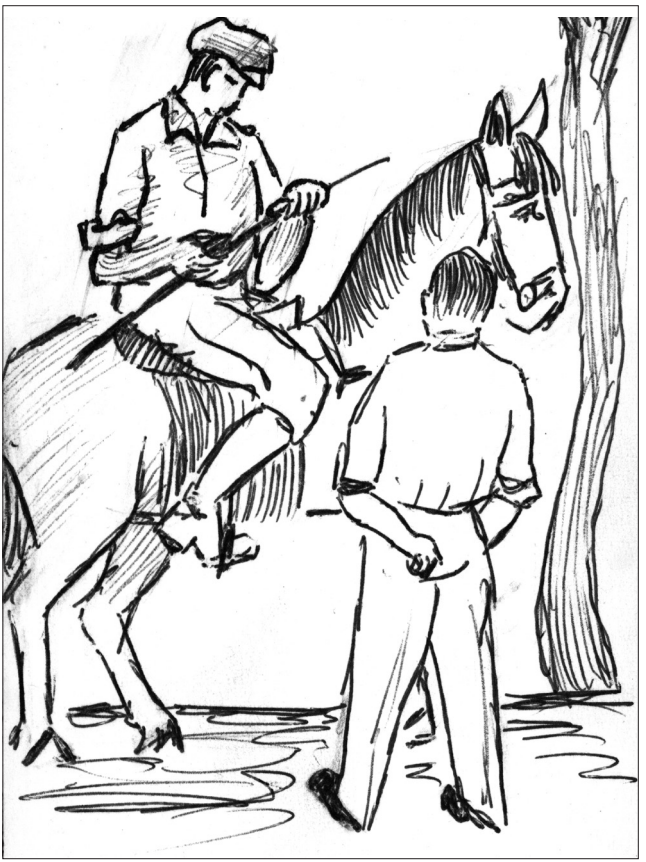

Rys. „Miłe spotkanie" z Ortsbauernfuhrerem po Polizeistundzie, Pawłowice, 14.01.1941 r.

czy ten Hitler jest naprawdę nadczłowiekiem i półbogiem, jak trąbi niemiecka propaganda? Wszystko mu się udaje.

Na początku żniw nasz Heider znów zabłysnął. W Kociugach w gospodarstwie brata pracował stary kawaler Franek Paszkowiak. Z głową nie wszystko

Rys. Po „egzekucji" u Ortsbauernfuhrera, 1941 r.

miał w porządku, ale nikomu nie wadził, pracował pilnie i był lubiany. Jak słyszałem, Heider był w Kociugach i wstąpił w jakiejś sprawie do zagrody Paszkowiaków. Jak doszło do katastrofy, nie wiem. Podobno Franek nie pokłonił się nisko i za to oberwał bykowcem. Rzucił się na Heidera i mu oddał pięścią. Domownicy pochwycili go i uspokoili. Wieczorem

przyjechał Heider z policją, skatowali biedaka, zakuli w łańcuchy i wrzucili na wóz. Zmarł w czasie przesłuchania na Gestapo. Nasz sołtys przyczynił się jeszcze do śmierci Jana Woźniaka i Maksymiliana Magdańskiego (umysłowo upośledzeni) oraz kogoś nieznanego mi, który ukrywał się w Pawłowicach.

A jaki on zawsze uśmiechnięty, wygolony, pachnący wodą kolońską, jak trzeba w miarę grzeczny i życzliwy, ale nastrój i humor zmieniał z minuty na minutę. Kiedyś pojechałem do niego po Kleiderkartę[26] na robocze ubranie. Wchodzę do sieni i słyszę krzyki, jęki i klaskanie bykowca. Po chwili wypadł z biura rozebrany do pasa chłopak z pręgami i krwią na plecach i twarzy, a pan Heider jakby nigdy nic z uśmiechem zaprasza mnie do środka i pyta: „Nu, Herr Lehrer, was wünschen Sie?"[27]. Z Polakami mówił najczęściej po polsku, urodził się w Krzemieniewie, żył wśród Polaków, służył w 17 pułku ułanów, nasz język znał doskonale. Tu jednak, w biurze, wobec portretu Führera wypadało mówić „urzędowo". Z zawodu był szewcem. W Pawłowicach wziął sobie restaurację, małe gospodarstwo i był władzą. Musiał dobrze służyć swoim panom, że mimo młodego wieku nie poszedł na front.

6 sierpnia w nocy młodzi Niemcy zburzyli wszystkie figury przydrożne (tak robią ci, którzy na klamrach pasów noszą napis „GOTT MIT UNS"[28]. Zrobiono to podobno w całym powiecie. W Pawłowicach takich figur było 11, w tym 5 bardzo starych

[26] Karta na ubranie z przydziału.
[27] Jakie ma pan życzenie?
[28] Bóg z nami.

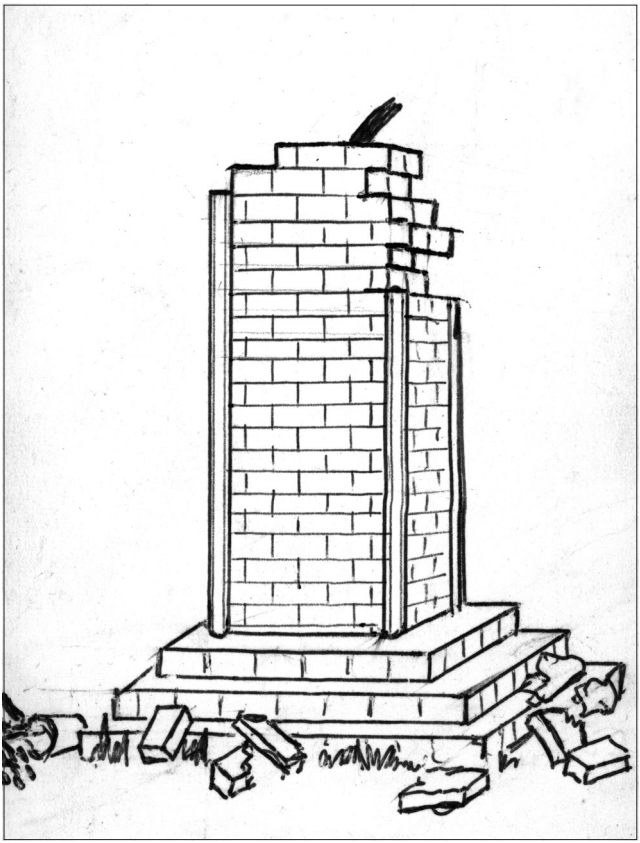

Rys. Tak wyglądała figura stojąca w ogrodzie Borowiaków po zniszczeniu jej przez Niemców. Rozbity cokół z kikutem po odłamanym krzyżu, Pawłowice, 6. 08.1941 r.

i cennych, jak figura św. Jana Kantego z piaskowca z roku 1746. Krzyż z figury stojącej w naszym ogrodzie znaleźli po dłuższym szukaniu, był zagrzebany w szlamie pod mostkiem. Wandalizm hitlerowskich wyrostków, którzy na pewno działali na rozkaz władz, był żywo komentowany przez Polaków. Teraz

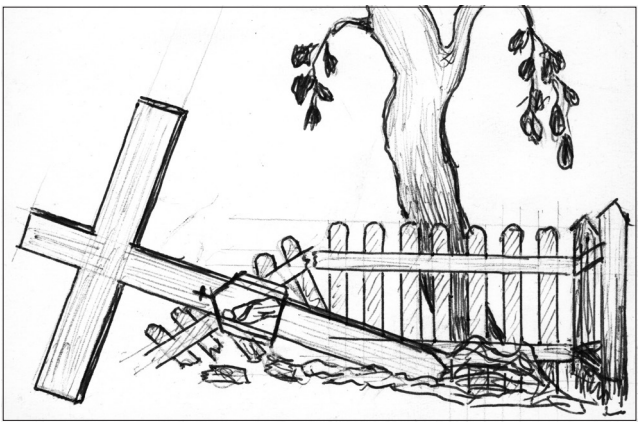

Rys. Zwalony drewniany krzyż obok Małego Dworu, Pawłowice, 6. 08.1941 r.

to już Niemców kara boska nie minie. Ocalałe szczątki zostały pieczołowicie pozbierane i ukryte. Dzisiaj prawie wszystkie te figury stoją znowu, tworząc tak bardzo swojski element polskiego krajobrazu.

5 października wywieziono do Fortu VII w Poznaniu naszego proboszcza ks. Kazimierza Śramkiewicza. Jako były kapelan powstańców wielkopolskich uchował się i tak długo. Okupację przeżył dzięki wstawiennictwu szkolnego kolegi, Volksdeutscha i został wywieziony do Jędrzejowa w GG.

15 listopada wywłaszczono nas. Rano o 7.00 zajechała powózka i wysiadło z niej czterech panów: Heider, dwóch SS i Fechner, który od dzisiaj będzie właścicielem naszego gospodarstwa. Wywłaszczył już wcześniej młynarza Zwierzchowskiego, zabrał też dużą pasiekę Bolesławowi Piotrowiakowi i teraz powiększa sobie gospodarstwo o nasze 11 ha, budynki i inwentarz. Możemy tu jeszcze mieszkać da-

lej. O 10.00 przyjedzie z parobkiem po konie, bydło, świnie i narzędzia rolnicze. Uwinęliśmy się szybko, przenieśliśmy do sąsiadów kilka worków zboża, przepędziliśmy jedna świnię i kilka kur. Dobrze, że nie liczyli. A więc nie najgorzej, możemy być zadowoleni, a jednak gdy zabierano nam konie i bydło, matka i siostry nie mogły powstrzymać łez.

W tym samym czasie wywłaszczono resztę rolników. Ich gospodarstwa zagarnęli Besaraby. Młodzi ludzie poszli do nich do pracy, a starych poupychano w opuszczonych domach po 2–3 rodziny.

Jedna z moich sióstr – Maria – poszła pracować do Fechnera, druga – Helena – do Laubego, który przybył tu niedawno z Jabłonny, ja chwilowo jestem wolny. Kilka dni poświęciłem na odwiedziny braci i sióstr. 21 listopada pojechałem do Leszna, chciałem dostać pracę w fabryce szczotek. Właścicielką była znana mi dobrze córka Wildego z Pawłowic. Już kiedyś powiedział mi, że w razie wywłaszczenia lub nawet wcześniej mam przyjść do niej. Jako znajomy dostanę dobrą pracę i będę bezpieczny, bo jej mąż jest ważną figurą w partii. Niestety w tym dniu wyjechała do Poznania, więc wróciłem do domu nic nie załatwiwszy. Pojadę jutro. Wieczorem tego dnia przyszedł do nas jeden z Besarabów, Hinz i nalegał, abym u niego pracował. Przysłał go Heider. Po namyśle zgodziłem się. Kalkulowałem sobie tak: na wsi jest większy spokój, łatwiej o jedzenie, nie muszę do pracy dojeżdżać, została tu jeszcze grupa Polaków, wśród swoich zawsze raźniej; sam Hinz wydawał mi się być dobrą duszą. Czy dobrze zrobiłem? – chyba tak. Wojtek nie chciał pracować u bambra,

a teraz żałuje, męczy się w fabryce gumy w Westfalii o głodzie, chłodzie i pod bombami.

24 listopada poszedłem do roboty. Czuję się okropnie. Do tego czasu chodziłem własnymi ścieżkami, jak ten kiplingowski kot, a teraz koniec względnej swobody, czekaj na cudze rozkazy i polecenia. No cóż, głową muru nie przebiję, poczekamy, zobaczymy, co będzie dalej. Hinzowie też na początek nie bardzo wiedzą, jak się w stosunku do mnie „ustawić". Wiedzą, że jestem nauczycielem i to ich nieco krępuje. Hinz lubi opowiadać mi o swoim gospodarstwie w Besarabii. Pokazywał zdjęcie wioski i na jej tle własne zabudowania. Domki małe, drewniane, biało malowane, kryte słomą, w otoczeniu sadów i drzew. Odnosiło się z tego miłe wrażenie. Tu w Pawłowicach dostał 25 ha ziemi, 4 konie, ponad 20 sztuk dobrego bydła, a świń nie zliczyć, budynki przestronne i wszystkie murowane. Mówił, że nie może przyzwyczaić się do tutejszych warunków gospodarowania, jak na jego gust za bardzo skomplikowanych. Tam orano na jedną skibę, siano ręką, wszystko pięknie rosło i plonowało bez takiego starania i chodzenia koło ziemi, jak tu. U nich wszystko załatwiała kukurydza i jęczmień, a tu kukurydza nie dojrzewa. Zimno tu, wilgotno i niezdrowo. Chciałby, jak mówił, wrócić jeszcze w swoje strony. W czasie jednej z takich rozmów powiedziałem staremu, że wszystko będę robił, co do mnie należy, mogę wykonać wiele rzeczy z zakresu murarki i stolarki, ale niech nie wymaga ode mnie jednej rzeczy, a mianowicie wywożenia nieczystości z wychodka. Najpierw popatrzył na mnie, a potem powiedział, że to prze-

cież robota, która nikogo nie hańbi, ale jeżeli nie chcę tego robić, to on nie będzie mnie zmuszał.

Nie wyjeżdżamy w pole, bo mróz. Łażę koło domu, rąbię drzewo, wykonuję różne prace. Nie jest to praca ciężka, ale nuży i męczy jak diabli. Stajnia przewidziana najwyżej na trzy konie i musi teraz pomieścić cztery. Koniska stoją tak ciasno, że trudno mi przecisnąć się z obrokiem, nie mówiąc już o kłopotach z czyszczeniem, które trwa około dwóch godzin, a muszę przy tym uważać, bo jeden łobuz gryzie. Jednocześnie to te biedne zwierzęta nie mogły się chyba położyć do odpoczynku.

Koło krów chodził Antoni Mazankiewicz – rolnik z Osiecznej, a o świnie dbała jego żona. Byli to bardzo zacni ludzie. Pan Antoni znał co prawda tylko dwa tempa – wolne i jeszcze wolniejsze, ale zawsze zdążył i co najważniejsze, był zawsze zadowolony z tego, co jest. Nigdy nie martwił się na zapas, wpływał na mnie tak jakoś uspokajająco. Był to wysoki, szczupły, lekko pochylony mężczyzna. Zawsze był ciekaw spraw wojny i polityki. Jego żona, bardzo zaradna i czysta, martwiła się o swoje dzieci, rozproszone po całym świecie. Mazankiewiczowie mieszkali w sąsiednim domu i żywili się sami. Ja jadłem z Hinzami. Muszę przyznać, że Hinzowa gotowała dobrze, kuchnia była trochę inna niż nasza, ale jedzenie smaczne i co ważne, nigdy mnie nie oddzielano. Gospodyni – małe i drobne chucherko, jej 18-letnia córka Elza i syn Robert – 16-letni chudy wyrostek, jedli bardzo mało, za to my ze starym młóciliśmy, ile weszło. Postaraliśmy się zawsze o to, aby miski pozostały puste. Hinz był niewysoki, ale gruby

i apetyt miał. Byłem dla niego dobrym towarzyszem.

Na początku do mięsa dawali tylko widelec, więc poprosiłem o nóż. Stara, nic nie mówiąc, nóż mi podała. Patrzeli, jak to się nożem je. Najwięcej zdumiało mnie to, że później wszyscy brali do mięsa noże. Nauka nie poszła w las. Po skończeniu posiłku zawsze podziękowałem gospodyni, później robili to też inni domownicy. Kiedyś zawróciłem Roberta, który pchał się do domu przed matką. Stara zadowolona uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: „Widzisz Robert, Józef ma rację, matkę trzeba szanować". Niemcy, którym wmawiano, że są czymś lepszym, muszą się wiele od nas uczyć i to mnie bardzo cieszyło.

Mimo wszystko przy długim dniu, ciężkiej pracy i młodym organizmie (zimą były tylko trzy posiłki) ziemniaki uparowane dla świń przez „matkę" Mazankiewicz bardzo smakowały. Jedząc tak te ziemniaki ze solą ponarzekaliśmy sobie z panem Antonim i przyrzekliśmy, że jak wojna się skończy, to spotkamy się w Osiecznej, podjemy do syta kiełbasy i zakropimy ćwiarteczką wódki. Niestety, nie mogę tego dzisiaj przeboleć, zanim znalazłem trochę czasu i okazję, minęło wiele lat. Mazankiewiczowa już nie żyła, a Antoni, siwy jak gołąbek, źle widzący staruszek ledwie mnie poznał.

Wigilia kiepska, snujemy się po podwórzu i nudzimy się. Po kolacji otrzymałem paczkę ze słodyczami i papierosami; wręczyła ją zarumieniona Elza, od starej dostałem 2 marki, a szef dał butelkę wódki i „pensję" – 20 marek; Robert dał rękawiczki.

Na święta zjechała cała rodzina, jest nas pełen

dom. Matka krząta się zadowolona z kochanych gości i częstuje, czym może. Chwalimy za dobre jak zawsze pierniki. My, chłopy, gramy naturalnie w karty i politykujemy. W polityce najlepiej orientuje się szwagier Józek Ziarkowski, który po wojnie i już w czasie okupacji pełnił szereg ważnych funkcji. Jest wesoło, a jednak brak mi Wojtka, jego humoru i beztroski. Biedak pewnie łyka łzy i tęskni do swoich. Z najmłodszym bratem Szczepanem „odstawiamy" koncert na dwa akordeony, brat Leon pomaga nam na skrzypcach. Brak nam najlepszego muzyka z naszej rodziny, Maksymiliana, który wspomina nas pewnie, będąc z dala od rodziny.

Smutny był Sylwester, już trzeci w niewoli. Żadne z marzeń i proroctw nie spełniło się. Każdy z nas wierzył, że w tym roku wojna się skończy. Wiele obiecywaliśmy sobie po wojnie na wschodzie, ale wieści docierające do nas nie są krzepiące. Mimo wszystko jesteśmy niepoprawnymi optymistami. Każdy z Polaków ma zawsze jakąś „pewną i sprawdzoną" wiadomość. Posądzam nawet niektórych znajomych, że po prostu zmyślają. Czego to nie robiło się wówczas, aby tylko podnieść się na duchu, pocieszyć i łatwiej przeżyć te okropne czasy. My tu jeszcze jako tako żyjemy. Słychać ponure wieści o obozach koncentracyjnych, więzieniach, wyrokach śmierci, biciu i torturowaniu. Tam dopiero musi być piekło, samo dno piekła. Wtedy, w poufnych rozmowach, odgrażaliśmy się, że jak skończy się wojna, to pomścimy pomordowanych, wywłaszczonych i bitych. Ta zemsta miała być według naszych wyobrażeń jakaś straszna, bliżej nieokreślona, ale straszna. A potem

był styczeń 1945 roku i nic z zemsty. Nie słyszałem, aby gdzieś w okolicy zdarzył się wypadek odwetu na Niemcach, choć przecież okazji było bardzo wiele. Prawie codziennie wieczorami do stajni przychodzi młody Heinz. Chce, jak mówi, uczyć się języka polskiego. Zna już nawet kilka wyrazów i zwrotów: „psia krew", „diabol", „jo", „wym", „jo nazywom się Hinz" itp. Uczy się też sposobów tutejszego gospodarowania. W okresie jesienno-zimowym jeździ do Leszna do szkoły rolniczej. Prosił mnie kiedyś o pomoc w rozwiązaniu zadań z matematyki i fizyki, ma też kłopoty z chemią, więc mu pomagam. Ucząc Niemca, asekuruję się, bo w razie wpadki z polskimi dziećmi mógłbym się tłumaczyć, że Hinza też przecież uczę. W końcu niech wiedzą Niemcy, że polski nauczyciel umie wszystko.

1942

Praca u Besarabów

Hinzowie to nieźli ludzie, nie można powiedzieć, ale wyczuwa się, że „góra" ustawia ich, aby Polaków traktować z góry i trzymać się od nich z daleka. Hinz inaczej rozmawia ze mną, gdy jesteśmy sami, a inaczej, gdy jest przy tym jakiś Niemiec. Młodzi Hinzowie są szkoleni na zebraniach i przesiąknęli już ideologią hitleryzmu. A jednak, gdy spojrzę na Elzę lub się do niej odezwę, to zawsze zarumieni się po uszy.

Dla Hinza i innych Besarabów wielkim autorytetem jest Ortsbauernführer. Co on powie, to jest święte. W listopadzie były silne mrozy, a pod koniec grudnia bardzo się ociepliło i sołtys nakazał orać. Po żniwach nie przeprowadzono podorywek i teraz należało się śpieszyć i orać na jedną skibę. Pojechaliśmy ze starym na pole, każdy swoją parą koni.

Na miejscu stwierdziłem, że orać nie będzie można, bo gruba warstwa ziemi jest jeszcze zmarznięta. Stary uparł się jednak, ich szef wie najlepiej, a orać kazał. Dwa konie nie dały rady, zaprzęgliśmy więc do pługa cztery i tak zepsuliśmy, ale to dokumentnie, pług. W tej sytuacji należało wrócić do domu, ale mój Hinz kazał brać drugi pług i dalej próbować. Nic już nie mówiłem. Z drugim pługiem było to samo. Kupę pociągniętego żelastwa zawieźliśmy zaraz do kowala. Oberwał stary za te pługi od swojej Matyldy! Nic nie mówiłem, aby nie zaogniać sprawy, a biedny Hinz schował głowę w ramiona i schronił się u mnie w stajni.

Zebrane jesienią buraki pastewne zamiast w kopce złożono w stodole w sąsieku tak, jak robiono w Besarabii. Zimą zmarzły na kamień. Biedny Antoni moczył je potem w zimnej wodzie, która natychmiast zamarzła. Dopiero po odtajaniu mógł je kroić dla bydła. Napracował się niepotrzebnie, a bydło miało mało wartościową paszę. Wiosną reszta buraków zgniła i dopiero była robota z usunięciem całej tej cuchnącej mazi ze stodoły!

Zimą przywieźliśmy saniami nawozy mineralne. Radziłem staremu, aby złożyć je w stodole na bojewicy, bo to i suche miejsce, i wygodne. W papierowych workach po 75 kg sztywne to, ciężkie i nieporęczne do noszenia. Mój szef uparł się jednak i kazał worki wnosić na strych, bo tak polecił sołtys. Na krętych i ciasnych schodach sam nie dałem rady, więc Hinz popychał worek z tyłu. Na zakręcie zatarło się, urwała się szypuła worka i cały ciężar runął na starego. Pokazałem trzymaną w rękach szypułę, aby czasem nie pomyślał, że worek puściłem naumyślnie. Teraz moja rada okazała się dobra i resztę nawozu złożyliśmy w stodole.

Hinz często narzekał, że nie ma co jeść. Udałem zdziwienie i powiedziałem, żeby nikogo nie pytać, świń jest dużo i nikt ich jeszcze nie liczył, ale on bał się sąsiadów – Niemców. Zdradziłem mu sposób na to, aby świnia nawet nie zakwiknęła. W końcu zdecydował się i we dwóch wczesnym rankiem przy wietrznej pogodzie i słocie uwinęliśmy się szybko, i zabili ładnego świniaka. Zanim przyszła do świń Mazankiewiczowa, nie było najmniejszego śladu. Radził się mnie, czy dać Mazankiewiczom mięso

i słoninę, a bał się, żeby nie zdradzili. Uspokoiłem go i zapewniłem, że biedni Mazankiewiczowie będą mu wdzięczni za żywność i prędzej dadzą sobie palec odciąć, niż mieliby go zdradzić. Jedzenie było zaraz lepsze.

Największą hecą było zabijanie świni oficjalnie na Szlachtschein[29], wtedy było wielkie święto w zagrodzie. Zeszli się sąsiedzi Besaraby, a jeden z nich z nożem w cholewie buta dyrygował całością. Podtuczona maciora, tak na oko 250 kg żywej wagi, chodziła powoli po podwórku. Na dany znak wszyscy rzucili się na nią, a spec rzeźnik przeciął świni gardło. Siekierą nie zabijano. Potem świnię powiesili w stodole i opalali wiechciami słomy. Aż dziw bierze, że stodoła nie spłonęła.

Muszę tu jeszcze opisać historię z baranem, bo mówi mi ona wiele o mentalności Hinzów. Mój szef „odziedziczył" po jednym z Polaków wspaniałego barana. Łaziło to po podwórku nie czyniąc nam krzywdy. Ale baran jest baranem i nigdy nie wiadomo, co do łba strzelić może. Zdarzało się już, że przepędzał z podwórka obcych ludzi. Radziłem Hinzowi, aby zwierzaka uwiązać u koryta, bo narobi biedy, wiosną może być niebezpieczny, szczególnie dla dzieci. Baran był pupilkiem Hinza i ulubieńcem Elzy, więc nie chcieli słyszeć, aby ich Limusch był wiązany. I tak zostało. Do czasu. Jednego dnia pan Antoni niósł koszyk z sieczką, a nasz baran szedł obok i raz po raz szturchał go łbem. Zgniewało to Antoniego i pchnął barana kolanem. Wtedy zaczął

[29] Schlachtschein – zezwolenie policyjne na ubój zwierząt hodowlanych.

się cyrk. Gdybym nie wybiegł ze stajni z batem, baran pewnie zmaltretowałby dziadka. Sprowokowany rzucił się na mnie. Skoczyłem na wóz i byłem bezpieczny. Antoni pozbierał się i uciekł do obory, i tylko przez szparę w drzwiach obserwował, co wyprawia zwierzak. A to bydle oszalało. Nie mógł mnie dosięgnąć, więc z wściekłością walił w wóz. Cały łeb miał skrwawiony. Było akurat południe i szef nic nie przeczuwając wyszedł z domu, i wołał mnie na obiad. Baran ruszył teraz na niego. Potłuczony Hinz z trudem uszedł z placu boju. Potem baran zapędził jeszcze psa do budy i został panem podwórza. Obłaskawiła go dopiero młoda Hinzówna i zamknęła w komórce. Nazajutrz po barana przyjechał rzeźnik, a Elza popłakiwała.

Kiedyś późnym wieczorem wracałem z korepetycji od państwa S. Aby przejść na zapłocie (tak było bezpieczniej), należało przekroczyć tor kolejowy. Tak się złożyło, że na przejeździe stał pociąg towarowy; nie miał wjazdu na stację. Obsługa pociągu chodziła wzdłuż wagonów i rozmawiała po niemiecku. Nie mogłem długo czekać i nie chciałem, aby mnie kto zobaczył, więc nie namyślając się wsunąłem się pod wagony. W tym momencie usłyszałem gwizd lokomotywy i charakterystyczny huk szarpanych kolejno wagonów. Pociąg ruszył. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Przylgnąłem do podłoża, bałem się tylko o to, aby zwisający na końcu pociągu hak nie zaczepił mnie i nie powlókł. Na szczęście skończyło się na strachu. Wstałem cały mokry, a nogi długo uginały się pode mną.

W styczniu 1942 wszyscy zostaliśmy zaangażo-

wani (każdy dostał swój limit, Polacy też) do wyplatania warkoczy ze słomy i siana, i szycia z nich bamboszy na buty dla żołnierzy na froncie wschodnim. Zawoziłem potem pełen wóz takich kapci do Leszna na stację.

Z mieszanymi uczuciami obserwujemy pociągi sanitarne, jakich kilkanaście na dobę przejeżdża przez Pawłowice. Polscy kolejarze mówią, że jadą do Reichu ranni i odmrożeni żołnierze niemieccy. Więc na wschodzie coś się jednak dzieje. Zima zmogła pod Moskwą Napoleona, zmoże i Hitlera. Zdaję sobie sprawę, że nie na miejscu jest porównywanie tych dwóch ludzi.

Zima jest ostra i długa. Dopiero w kwietniu wyjechaliśmy w pole. Jesienią nic się nie zrobiło i teraz pracy jest powyżej uszu.

Niemcy modernizują pomieszczenia inwentarskie. Przyjechała specjalna brygada budowlana i przechodzi od gospodarstwa do gospodarstwa, wstawia nowe duże okna, robi betonowe posadzki. Potrzebny był żwir. Pojechaliśmy ze starym do lasu w Kąkolewie. Żwir wybierało się na wysoko położonym zboczu wzniesienia. Zjeżdżając w dół mój stary najechał na wystający pień i złamał się dyszel. Zaczął narzekać i biadolić. Ja szczęśliwie wydostałem się z moim zaprzęgiem na drogę i wróciłem do załamanego Niemca. Kazał zrzucić piasek i pusty wóz doczepić do mojego. Wytłumaczyłem mu, że tak nie możemy zrobić, bo jutro musiałbym znowu przyjechać, a jest pilna robota w polu i honor nie pozwala, aby całe Kąkolewo śmiało się z nas widząc taka karawanę. Miałem na wozie siekierę, zgodnie ze starą

chłopską maksymą: „Jedziesz do lasu, bierz ze sobą siekierę" i wstawienie nowego dyszla nie przedstawiało już żadnego problemu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale stary kiwał z uznaniem głową, a że zrobiłem już więcej rzeczy, bo zawsze lubiłem majsterkować, coraz bardziej wierzył w moje możliwości. Kiedyś zepsuła się im maszyna do szycia. Prosili, abym ją naprawił. Dotychczas nie widziałem jeszcze, jak maszyna wewnątrz wygląda, ale honoru należało bronić. Próbowałem, pokręcałem śrubki, naoliwiłem i... maszyna szyła. Prawdę mówiąc, do dzisiaj nie wiem, jak to się mogło stać, jednym słowem – fuks, a Hinzowie pewnie myśleli, jaki to ze mnie niezastąpiony majster.

Na wiosnę Hinz zwolnił Mazankiewiczów, a na ich miejsce przyjął Teresę M. do świń i prac polowych, Adama K. do krów i Antka (nazwiska nie podam) z Łodzi do drugiej pary koni. Tego Antka douczałem, bo Niemcy przerwali mu naukę w szkole, a nie chciał za dużo stracić. Wiele dyskutowałem z nim na temat polityki i przyszłości Polski. Pochodził z rodziny o lewicowych tradycjach. Młoda ta nowa kadra, ale mnie nie współpracuje się już tak dobrze, jak z Mazankiewiczami. O wiele gorzej jest teraz z jedzeniem. Dla nas czterech Polaków Hinzowa gotuje już w innym garnku, siedzimy przy osobnym stole. Przestaje mi się to podobać.

W czerwcu gospodarz mojej siostry – Laube – został powołany do wojska. Za radą siostry poczynił starania o mnie. Hinz nie chciał mnie zwolnić, namawiał mnie, abym został, podniósł mi nawet „pobory". Tak naprawdę, to niewiele miałem do gadania,

choć wolałem naturalnie pracować z siostrą. Odchodzący na front miał jednak coś do powiedzenia i tak 21 czerwca znalazłem się w nowym miejscu pracy. Było tylko 10 ha ziemi i dwa konie, pracy mniej, gospodarzymy z siostrą. Laubowa, choć pochodzi z gospodarstwa, nie wtrąca się za dużo. Zacząłem od zwózki żwiru, wkrótce przychodzą do nas murarze.

Mój nowy szef przed odjazdem do wojska szczerze sobie ze mną pogadał. Dobrze mówił po polsku, a z jego rozmów wyczułem, że matka była chyba Polką, choć tego nigdy nie powiedział wprost. Zaproponował mówienie sobie przez „ty". Wie, że jestem nauczycielem, przykro mu, że muszę pracować jako parobek, ale on nie pchał się do Pawłowic, został zmuszony do przejęcia gospodarstwa po Polaku. W Jabłonnie miał trochę ziemi, jednego konia i dwie krowy, zimą dorabiał sobie w lesie i cukrowni, i było mu dobrze. Teraz nastały takie czasy i nic on na to nie poradzi. Nie miałem powodu, aby mu nie wierzyć. Już wówczas powiedział, że tej wojny Niemcy nie wygrają. Czy to mówił szczerze, tego nie twierdzę, bo naprawdę nie wiem.

Żniwa opóźniają się, koniska słabe, gospodyni chciwa, wydziela ziarno garnuszkiem. Żal mi koni, więc podkradam ziemniaki, rżnę sieczkę z resztek niemłóconego zboża. Żniwować zaczęliśmy dopiero, co się rzadko zdarza, 2 sierpnia.

Przez dłuższy czas Hinz nie patrzył na mnie i nawet nie odkłaniał się. Tak było do czasu, aż coś potrzebował. Przyszedł kiedyś wieczorem z dwoma sprawami: pod co i jakie siać nawozy mineralne, których coraz więcej spływa na wieś, a syn, chociaż

jeździł do szkoły rolniczej, nie wie. Prosił poza tym, abym mu zrobił siedzenie na wał; jego sąsiad już coś takiego ma. Oni są bardzo wygodni, nie chce im się chodzić, wolą siedzieć. Jeden z Besarabów to brony do bryczki zaczepił i tak bronował pole, jeżdżąc sobie powózką. Polacy boki zrywali.

20 lipca wrócił z więzienia w Lesznie mój szwagier Staszek Angier. Siedział od kwietnia. Niemcy posądzili go o posiadanie broni. Pewnego dnia zupełnie niespodzianie (donos?) zrobili rewizję w domu rodzinnym w Rydzynie i znaleźli pod podłogą na strychu stare zardzewiałe żelastwo, bagnet z I wojny światowej i różne niepasujące do siebie detale broni palnej. Z domowników nikt o tym nie wiedział; być może schował to ojciec, który nie żył już od lat, mógł to zrobić również poprzedni właściciel domu. Niemcy przyczepili się do Staszka, bo z zawodu był kowalem, więc wmawiali mu, że jako „fachowiec" przygotowywał broń przeciwko Niemcom. Na nic zdało się tłumaczenie, że nic o tym nie wie, że z domu wyszedł przed kilkoma laty; Niemcy kozła ofiarnego mieli w rękach. Jednocześnie prowadzili wywiady, chcieli znaleźć kogoś, kto świadczyłby przeciw. Nie znaleźli takiego, a majster Niemiec, u którego szwagier uczył się zawodu, wystawił mu dobrą opinię i prosił nawet o zwolnienie. Staszek wrócił do żony i dzieci. Niemcy wzięli też chyba pod uwagę to, że szwagier był maszynistą kolejowym, a tych Niemcom ciągle brakowało. Staszek miał wielkie szczęście. Po jakimś czasie jeden z więźniów jego celi maltretowany i lżony przez strażnika rzucił się na niego i za to wszyscy współwięźniowie z tej celi

zostali straceni. Wśród nich był brat mojego kolegi J. Samelczaka[30].

Mniej więcej w tym samym czasie z obozu w Łodzi wrócili wujostwo Fr. Musielakowie z Krzemieniewa z dwoma wnuczkami. Po wywłaszczeniu wywieziono ich do obozu z córką, zięciem i czwórką wnucząt. Przebywali w zagęszczonych do granic wytrzymałości pomieszczeniach, a o warunkach sanitarnych i wyżywieniu lepiej nie mówić. Nic dziwnego, że w bardzo krótkim czasie zmarła dwójka najmłodszych dzieci. Jeden z synów wujostwa ożenił się przed wojną z Niemką i był teraz Volksdeutschem. Ze swoją żoną i jej rodziną poczynili starania o zwolnienie z obozu rodziców i siostry z dziećmi. Niemcy zwolnili tylko starych. Ci wyjeżdżając z obozu chcieli zabrać pozostałe przy życiu dzieci, ale Niemcy nie zgodzili się na to. Mimo wszystko przy pomocy współwięźniów i pełnym poświęcenia zaangażowaniu polskich pielęgniarek, udało się prawie cudem dzieci z obozu wykraść. Wynieśli je zawinięte w toboły jako podręczny bagaż. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i dobroci ludzi uniknęły niechybnej śmierci.

---

[30] Ten fragment wspomnień nie znajduje potwierdzenia w dokumentach i innych relacjach. Leśniczy Marian Samelczak – brat nauczyciela Jana Samelczaka z Wieszkowa, aresztowany 30 IV 1942 r., więziony w Kościanie, Lesznie, Rawiczu, osadzony w niemieckim obozie koncentracyjnym Mauthausen, zmarł tam 11 I 1943 r. Atak więźnia na strażnika miał miejsce 13 VIII 1941 r. w niemieckim więzieniu policyjnym w Kościanie i nie spowodował żadnych represji wobec współwięźniów. Zob. M. Koszewski, *Kościańska księga śmierci*, t. I, s. 58.

Zamiary Niemców w stosunku do Polaków były okrutne i nieludzkie. Coraz wyraźniej stawało się widoczne, że Niemcy dążą do biologicznego unicestwienia Polaków jako narodu. Eksterminacja przejawiała się w mordowaniu z błahych powodów lub bez żadnej przyczyny, osadzaniu w obozach i więzieniach, skąd się najczęściej nie wracało, biciu, lżeniu i upadlaniu, łapankach i wywożeniu na przymusowe roboty, powszechnym wywłaszczaniu i pozbawianiu wszelkiej własności, głodowych racjach żywnościowych, niepewności losu, grabieniu lub niszczeniu dóbr kultury i nauki polskiej, pozbawieniu młodych Polaków możliwości kształcenia, zakazie przebywania w miejscach przeznaczonych tylko dla Niemców: restauracje, kina, wagony kolejowe, parki, kościoły, zakazie poruszania się i podróżowania, podwyższeniu wieku dla chcących zawrzeć związek małżeński (dla mężczyzn – 28, dla kobiet – 25 lat), germanizowaniu wyselekcjonowanych polskich dzieci itd.

Byłem świadkiem wywożenia ciężarowymi samochodami z pałacu w Pawłowicach obrazów, rzeźb, chińskich waz, biblioteki, zastaw stołowych i sreber, i innych dóbr kultury o bezcennej wartości. Mielżyńscy, właściciele Pawłowic, byli wielkimi koneserami, a olbrzymi majątek pozwalał na zakup wartościowych dzieł[31]. Teraz w pałacu jest Lehreri-

[31] Ruchomości z pałacu w Pawłowicach zostały zapieczętowane i przekazane pod opiekę głównego konserwatora „Kraju Warty" Johanesa. Pawłowickimi zbiorami zajął się m.in. prof. Klenze. W 1941 r. przejął XVIII–XIX – wieczne meble, bibliotekę, obrazy, zegary, wazy alabastrowe, ozdoby kominkowe oraz świeczniki. Wśród wywożonych 7 XI 1941 r. zrabowanych przedmiotów znajdowało się

nenanstalt przeniesiony tu z Berlina[32]. W oficynie pałacu mieści się szkoła podstawowa dla dzieci niemieckich.

Koresponduję z Gabrielą, którą wywieziono na roboty, z Wojtkiem, kilkoma kolegami ze szkoły i dziewczynami, z którymi kiedyś tak przyjemnie spędzaliśmy czas na przechadzkach.

Moja nowa szefowa ma dwoje dzieci – 6-letniego Huberta i 3-letnią Sigrid. Chłopiec stale chodzi za mną i bez przerwy o coś pyta. Odpowiadam mu cierpliwie, bo to przecież dziecko. Rozmawiamy tylko po polsku. Dlatego, że jest dla mnie miły, robię mu czasem jakąś zabawkę. Po polsku rozmawiam też z siostrą Laubowej – Erną, której mąż też jest na froncie. Szefowa skończyła szkołę niemiecką, zna tylko kilka polskich słów i gniewa się mocno, gdy z Erną gadamy po polsku, bo nie rozumie, a jest wszystkiego bardzo ciekawa. Chwali się, że kiedyś była kucharką u barona w Jabłonnie[33], ale gotuje kiepsko; wygląda na to, że raczej obierała ziemniaki i pomywała talerze.

---

5 skrzyń ze skarbca pawłowickiego. Trafiły one do Berlina. Resztki zbiorów zostały zabrane w I połowie 1944 r., szerzej: J. Wawrzyniak, *700 lat...*, s. 75–76.

[32] Seminarium nauczycielskie. Była to szkoła z internatem dla 120 dziewcząt, które sprowadzono z różnych stron Niemiec. Wychowywane w duchu hitlerowskim przeznaczone były na przyszłe nauczycielki w Kraju Warty. K. Olender, *Pawłowice*, [w:] *Gmina Krzemieniewo wczoraj i dziś*, Krzemieniewo 1997, s. 89.

[33] Chodzi o Joachima von Loescha. Szerzej K. Olender, *Trudne sąsiedztwo – stosunki między polskimi i niemieckimi mieszkańcami pogranicza w latach poprzedzających II wojnę światową*, [w:] *Rydzyniak*, nr 16 z 2009 r.

Matka Józefa Borowiaka, właścicielka dobrze prosperującego gospodarstwa 11.5 ha – a teraz dwóch kóz, bez których byłoby jej bardzo ciężko. Samopoczucie dobre, świadczy o tym uśmiech; żyliśmy dzięki nadziei. Pawłowice, okres okupacji.

Kiedyś nasza matka płacząc opowiadała mi, że jeden z niemieckich szczeniaków rzucał w nią kamieniami i lżył za to, iż mu się nie ukłoniła. Byłem wściekły, chętnie bym go rozszarpał, ale wtedy cóż można było zrobić? Opowiedziałem o tym mojej starej, tym bardziej, że matka często nam bezinteresownie pomagała. Była oburzona i radziła powiedzieć o tym ojcu chłopca. Chciałem to zrobić, ale w końcu machnąłem ręką wiedząc, że moja gospodyni sama to załatwi. Podobny incydent nie zdarzył się więcej.

Pojechałem raz ze zbożem do „Agry" w Lesznie. W biurze spotkałem Niemca z Trzebin – Schw. Dusza uciekła mi w pięty. Udawałem, że go nie widzę, ale on spostrzegł mnie, przywitał i szczegółowo wypytał, co robię i gdzie mieszkam. Muszę tu wrócić do wydarzenia sprzed kilku lat.

Przed wojną uczyłem w Piotrowicach. Schw. – stary kawaler – gospodarował z siostrą i miał na wychowaniu krewniaka, który chodził ostatni rok do szkoły. W każdy piątek (Schw. z siostrą wyjeżdżali do Leszna na targ), a także i w inne dni zostawał w domu. Ostrzegałem Niemca, że doigra się kary. Zawsze obiecał poprawę, ale nic się nie zmieniało. Gdy przyjechał inspektor na wizytację szkoły i zobaczył dziennik, to najpierw natarł mu uszu, a potem polecił wysłać wniosek do Starostwa o ukaranie Fenglera. Zrobiłem to i nasz Fengler dostał wkrótce nakaz zapłacenia dość wysokiej grzywny. Przyszedł do mnie wieczorem z płaczem i wyrzekaniem, skąd on weźmie tyle pieniędzy. Prosił, abym mu napisał wniosek o obniżenie kary i rozłożenie na raty. Wstawiła się jeszcze za nim moja siostra, która mi gospodarzyła. Napisałem więc wniosek, siostra go przepisała, on podpisał, ja pozytywnie zaopiniowałem i pojechał papier z Fenglerem do Leszna (oj, dostałem za to pozytywne zaopiniowanie od inspektora na konferencji kierowników szkół!). Starosta prośbę Fenglera załatwił pozytywnie. No tak, zrobiłem wtedy, co mogłem, ale dzisiaj Szwab[34] mógł się odegrać, widziałem się już na Gestapo. Pożegnał mnie i poszedł, a ja jak najszybciej uciekałem do Pawłowic. Przez kilka nocy nie zmrużyłem oka. Schw. spotykałem jeszcze więcej razy; dał mi spokój.

Niemcy bardzo szanowali swoje marki. Polacy śmiali się z tego i mówili, że Niemiec za markę

[34] Pogardliwe określenie Niemca.

gotów diabłu oddać duszę lub gnać pieszo do Berlina. W owym czasie należało jednak rozumieć Polaków za brak poszanowania dla pieniędzy. Prawdę mówiąc, za marki niewiele można było kupić. Moja „stara" była zgorszona i nie mogła zrozumieć, że ciężko zapracowane pieniądze wydaje się na gazety i książki, i według niej tracę bezmyślnie. Czy miałem i mogłem im powiedzieć, że ich marki mam gdzieś?

Moja szefowa była nie tylko oszczędna, ale i chciwa, a nawet zachłanna. Po wybraniu buraków cukrowych zwiozłem je z pola pod stodołę. Stąd było blisko do stacji, no i dobra droga. Gdy podstawią wagon, trzeba go migiem załadować. Za zapłociem majątek miał kilkadziesiąt ha buraków. Leżały już w kopcach. Powiedziałem kiedyś Laubowej, że chciałbym z siostrą pójść do tych kopców i wziąć nieco buraków dla matki, która wysmaży z nich syrop do smarowania chleba i pieczenia pierników. Prosiłem o to, aby w razie, gdyby mnie ktoś na drodze do domu schwytał, powiedziała, że buraki mam od niej. Zgodziła się chętnie, ale zaraz dodała, że idzie z nami. Mało miała swoich. Było już zupełnie ciemno, miedza nierówna, szło się po omacku i zanim doszliśmy na pole, byliśmy zmęczeni. Przy kopcach jakieś szmery i krzątanina, widać, że amatorów cudzych buraków jest więcej. Po wielu trudach dotarliśmy do domu. Ja swoje buraki też wspaniałomyślnie wysypałem na kupę przy stodole. Ale cieszyła się z tych kilkudziesięciu kg nabytku! Nie miała jednak racji – te swoje buraki i tak wieczorami odniosłem potem do swojego domu.

Przed gwiazdką przyjechał z frontu stary. Dobry z niego człowiek, ale w ciągu tych paru dni chciał narobić cudów, latał jak z pieprzem, ciągle wymyślał nowe roboty. Stale musiałem z nim gdzieś jeździć. Odetchnąłem, gdy wyjechał. Ciekawy to był człowiek – najpierw zrobił, a potem dopiero pomyślał i dlatego wiele sił tracił nadaremnie. Wszystko chciał robić bardzo dokładnie. Rżnęliśmy piłą drewno na opał. To się zawsze tnie na oko, drewka w piecu i tak spalą się równo, ale nie u Laubego. Mówiłem mu, że ten ostatni kawałek i tak nie ma 25 cm, bo nie ma równych wałków, ale on mi racji nie przyznał. Lepiej dla mnie, bo jak mierzył, ja sobie odpoczywałem.

Nadzieje na lepszy los

W lutym bardzo ciepło. Wyjeżdżamy już w pole. Lepsze to, niż obijanie się bez celu po zagrodzie. Coraz częściej przyjeżdżają teraz różni spece i pełnomocnicy – jeden od krów, inni od świń, owiec i koni, mądrzą się, doradzają i zaglądają do koryt, czy czasem nie karmię koni żytem. Jakby te konie były moje!

Zachorowała nam matka. Stan poważny. Lekarz do starej Polki nie chciał przyjechać. Całe noce czuwamy na zmianę przy łóżku, leczymy domowymi i wypróbowanymi środkami. Kryzys szczęśliwie minął i matka powoli przychodzi do sił.

Niemcy pozamykali kościoły dla Polaków. Księży wywieziono do obozów koncentracyjnych i więzień. Do kościołów dla niemieckich katolików Polakom wstęp wzbroniony. Dla Polaków całego powiatu jest czynny jeden maleńki kościółek i jak na ironię położony na samym krańcu, aż w Kaczkowie. Czasem tam jeździmy na nabożeństwo. Szefowa daje chętnie konie i powózkę, zabieram zawsze kilka starych kobiet. Ludzie jadą wozami, rowerami i pieszo ciągną tłumy. Msze odprawia ks. Maksymilian Matuszak, na organach gra nasz organista Władysław Ciężki. W dni powszednie jeździ ksiądz rowerkiem po całym powiecie, słucha spowiedzi, chrzci, udziela ślubów (wszystko w domach prywatnych), chowa zmarłych. Mieszka w małej izdebce i żyje z tego, co mu ludzie podadzą. W naszym kościele w Pawłowicach jest magazyn wojskowego sprzętu łączności.

Często spotykam się teraz z Józkiem Rybińskim, synem górnika z Francji. Ukończył gimnazjum matematyczno-przyrodnicze w Warszawie, szkołę podchorążych, brał udział w wojnie obronnej 1939 r., został poważnie ranny. Teraz jest u stryja z powodu kalectwa Niemcy nie wzięli go do ciężkiej pracy, ma jakieś lżejsze zajęcie w Lesznie. Rozmawialiśmy dużo na tematy polityczne aktualne i o przyszłości Polski. Ciekawie i z zacięciem opowiada Józef – radykał – jaka będzie socjalistyczna Polska po odzyskaniu niepodległości. Nie ze wszystkim się zgadzałem, nie wszystko chciałem zrozumieć, wychowany byłem w innej atmosferze i w innej szkole, wyznawałem inne ideały i poglądy. Józek do wielu spraw mnie przekonał i zmusił do myślenia. Dużo mówiliśmy o problemach fizyki i matematyki. Wiele się od niego nauczyłem. Był to naprawdę dobrze wykształcony i inteligentny młody człowiek. Zaraz po wojnie rzucił się w wir pracy organizatorskiej, był członkiem Rady Robotniczej, a później gminnym sekretarzem PPR. Zginął zamordowany przez reakcyjną bandę[35].

Latem moja siostra poszła do innej pracy. Na jej miejsce stara przyjęła 16-letniego Zygmusia Kowalskiego, nawiasem mówiąc mojego byłego ucznia. Jego ojciec był dróżnikiem kolejowym i jako taki zarabiał mało. Po każdym młóceniu Zyguś przynosił worek, chował go w słomie, a wieczorem brał ziarno

[35] Ówczesne oficjalne określenie na podziemie niepodległościowe. Na Józefie Rybińskim został wykonany wyrok śmierci najprawdopodobniej przez oddział „Dzielnego" 15 stycznia 1946 r. IPN Po 0/37/3-4, s. 86–87.

do domu; ja też brałem, bo nasza matka, właścicielka 11-hektarowego gospodarstwa, nie miała żadnych środków do życia.

Na krótki urlop przyjechał Wojtek. Źle się czuje w tej fabryce gumy w Bochum. Zazdrości mi w miarę spokojnego i unormowanego trybu życia. Westfalia jest coraz intensywniej bombardowana. Wspominaliśmy wszystkie nasze dawne dzieje i przeżycia. Teraz czekamy na rychłe zakończenie wojny.

5 grudnia, w niedzielę przed obiadem, przyszło do mnie na lekcję dwóch chłopców. Wpadł nagle w jakiejś sprawie Heider i naturalnie zaraz zaczął indagować, po co przyszli i co tu robią. Całe szczęście, że schowali zeszyty. Odpowiedziałem, jak mogłem najspokojniej, że jednego z nich boli brzuch i przyszedł do mnie po pomoc, bo ja znam się trochę na leczeniu, ponieważ będąc w wojsku, ukończyłem specjalny kurs. Spytał, czy gdy on będzie chory, może do mnie przyjść. Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem, że naturalnie tak, ale przecież on ma do dyspozycji fachowych lekarzy, a nie takiego znachora jak ja. Rozchmurzył się, mruknął – „do widzenia" i odjechał.

W tę Wigilię, jak i przy różnych innych okazjach, gospodyni odprawia kuczki[36], obrzędy i czary z bydłem, kurami i nawet z psem, a potem jeszcze z jedzeniem. Z Zygmuntem boki zrywamy i dziwimy się,

[36] Odprawiać kuczki – siedzieć zamyślonym. Według Michała Arcta, *Słownik ilustrowany języka polskiego*, Warszawa 1916, kuczki – święto żydowskie, kuczka – szałas budowany w święto Sukkot. Regionalnie kuczka – ciasne nędzne pomieszczenie, kopka siana. https://sjp.pwn.pl/slowniki/Kuczki.html [dostęp 28.05.2019 r.]

że Niemcy są tacy zabobonni. Wiosną, przy wyprowadzaniu pierwszy raz bydła na pastwisko, kładła na progu obory siekierę i miotłę, aby bydło się nie pochorowało. Kolacja zaczyna się późno i wlecze się, a nam śpieszno do domu na prawdziwą polską wieczerzę.

Stosunki z Gabrielą ulegają powolnemu ochłodzeniu. Piszemy do siebie coraz rzadziej. Długie niewidzenie nie sprzyja w naszym przypadku utrzymaniu głębszego uczucia. Tego, co było, nie żałuję, bo było to bardzo piękne.

6 stycznia, Trzech Króli, Besaraby świętują, nasza stara wymyśliła młócenie. Ona zawsze tak, gdy jest jakieś katolickie święto. Niemcy do kościoła nie bardzo się garną. W czasie, gdy byłem u Laubów, do zboru w Poniecu zawiozłem ich tylko dwa razy.

Jednego wieczoru poszedłem do państwa S. na lekcję. Zastałem tam jakąś Blitzmädel (dziewczyna służąca w wojsku), ich sąsiadkę i jej chłopca Feldfebla (sierżant). Przy powitaniu jak zawsze pocałowałem panią S. w rękę i nie chcąc robić wyjątków, również Mädel. A ta, zarumieniona powiada: „Zobacz Hans, jakimi dżentelmenami są Polacy, jak oni potrafią uszanować kobiety, Niemcy powinni się od nich uczyć grzeczności". Miałem z tego wielka frajdę i kupę satysfakcji. Patrzcie, patrzcie – Polacy, których traktowano jako gorszy gatunek ludzi lub ich po prostu nie zauważano, mają być wzorem dla Niemców! Przy wódce, którą przynieśli, gawędziliśmy sobie swobodnie dalej. Nie chcieli wierzyć, że jestem parobkiem; jestem ich zdaniem za dobrze wychowany i nieźle mówię po niemiecku. Powiedziałem

im, że to u nas normalne, że niczym się przecież od innych nie wyróżniam. Pani S. przytakiwała z przekonaniem. Niech teraz zmienią sąd o „barbarzyńskich" Polakach. Było już późno, więc chciałem iść do domu, ale Feldfebel kazał mi siedzieć, on mnie do domu odprowadzi. Później przy spotkaniach na ulicy bardzo przyjaźnie do mnie się uśmiechali.

Zimą młócimy zboże, wywozi się obornik, wybiera się z kopców ziemniaki i buraki pastewne. Wypadnie czasem jazda do cukrowni w Gostyniu po suche wytłoki. Roboty za dużo nie ma, ale w pracy siedzi się i tak od 6.00 do 20.00, czyli 14 godzin, latem pracuje się 16, a nawet więcej. Na sprawy osobiste nie ma czasu. Mimo zmęczenia dużo czytam, a z braku laku te same książki po kilka razy. „Pana Tadeusza" znam prawie na pamięć i wydaje mi się, że dopiero teraz wczułem się i poznałem dobrze treść i przepiękny język. Abonuję gazetę „Ostdeutscher Beobachter". Kosztuje niewiele, a między wierszami można wyczytać, jak to „skraca i wyrównuje się front" do zapowiadanej od dawna ofensywy, która nie następuje; przez czytanie opanowuję też coraz lepiej język niemiecki. Zarabiam mało, bo tylko 25 RM, ale i tych pieniędzy nie mam na co wydać. Kupuję różne wydawnictwa albumowe, pięknie wykonane, chciałem nabyć książki z dziedziny pedagogiki i psychologii, niestety, nigdy w księgarniach ich nie było.

Zima bardzo łagodna i przyjemna, już w styczniu wywozimy obornik na pole i orzemy. Niedługo zaśpiewają skowronki.

Będąc w Lesznie ze zbożem spotkałem naszego zacnego i kochającego „Tatę", profesora Seminarium

Tak ubierali nas Niemcy, Pawłowice, sierpień 1944 r.

Nauczycielskiego, Władysława Rosochowicza[37]. Powiedział mi w zaufaniu, że w Lesznie działa tajne nauczanie. Naturalnie pochwaliłem się przed moim profesorem, że ja też nie stoję na uboczu. Ucieszył się szczerze i pochwalił, mówiąc, że jest dumny z nauczycieli, a przede wszystkim ze swoich uczniów. Wyłuszczyłem przed nim pewne moje obawy i wątpliwości, jakie mnie trapią. W moich warunkach, gdy pracuję nawet 16 godzin na dobę, nie jestem w stanie uczyć systematycznie; dzieci rozrzucone są po całej wsi, przerabiamy materiał z różnych przedmiotów i klas, a wszystko trzeba robić skrycie i w wielkiej tajemnicy. Dlatego też wyniki nauczania, jakie możemy osiągnąć, nie odpowiadają absolutnie wymogom programu. Występuje jeszcze inna zła rzecz – bez przerwy kogoś wywożą, jest ciągły ruch ludności, przychodzą nowi uczniowie. Jednym słowem, nie jestem zadowolony i mam wyrzuty sumienia. A on, kochany Profesor, chwycił mnie w ramiona i patrząc w oczy powiedział: „Józek, robisz, co możesz, a to już wielka rzecz. Przecież najważniejsze to to, że dzieci nie zerwały kontaktu z książką, uczą się, rozwijają umysł, poznają zasady samokształcenia". Bardzo mnie tym uspokoił.

Po wywłaszczeniu polskich rolników jest we wsi dosyć spokojnie. Od czasu do czasu wywożą ludzi z majątku na roboty do Niemiec. Wieczorami mam zawsze pełno gości. Przychodzą starzy i jak mówi-

[37] Władysław Rosochowicz (1884–1966), nauczyciel, organizator tajnego nauczania w Lesznie. Szerzej w: S. Jędraś, *Władysław Rosochowicz*, [w:] *Słownik biograficzny Leszna,* Tom II, Leszno 2011, s. 185–186.

my, „emerytowani" rolnicy na pogaduszki o polityce. Wszyscy wierzymy w rychły koniec wojny. Na wschodzie Niemcy cofają się „planowo" i „wyrównują" ciągle front. Coraz więcej pociągów z rannymi żołnierzami przejeżdża przez Pawłowice.

W marcu wybieraliśmy z kopca ziemniaki dla stacjonujących w Pawłowicach niemieckich żołnierzy. Przyjechał po nie taki mądrala, gruby jak wieprz, Feldfebel popatrzył na mnie i powiedział do starej: „Taki młody polski byk obija się na tyłach i żre niemiecki chleb, a Niemcy muszą walczyć na frontach i bronić Europy, a więc i Polaków przed żydostwem i bolszewikami; takich powinno się brać na wojnę". Ale się wkurzyłem za to obijanie i żarcie niemieckiego chleba. Odpowiedziałem mu z ironicznym uśmieszkiem, że moja wojna skończyła się w 1939 roku, a że jego jeszcze trwa, to już nie moja wina, a zresztą dziwię się, że on młody wozi ziemniaki, a nie walczy na froncie. Spojrzał na mnie wściekły i purpurowy na twarzy, i powiedział: „Nie bądź taki mądry, bo zawsze możesz tego pożałować!". Stara chciała pewnie spięcie rozładować, więc powiedziała, że ja ciężko pracuję na chleb, nie tylko dla siebie i jej rodziny, ale także dla żołnierzy, bo te ziemniaki zasadziłem i sprzątnąłem, a przedtem natrudziłem się z uprawą ziemi, a tę wojnę to Niemcy wygrają bez Polaków. Zygmuntowi tylko oczy błyszczały. Czułem, że gdyby umiał wygadać się po niemiecku, to by i on włączył się do „dyskusji". Dobrze, że tak się skończyło.

Wiosną zabrali nam jednego konia do wojska. Dostaliśmy za niego z majątku rocznego źrebaczka, a tu czeka nas ciężka praca w polu i żniwa zbliża-

ją się szybko. Uczyłem go ciągnąć, a nigdy tego nie robiłem. Po radę poszedłem do starych rolników. Postępując nieumiejętnie można takiego konika znarowić. Wszystko udało się jak najlepiej, konik posłuszny i spokojny jak baranek, jakoś pójdzie. Dobrze, że drugi koń jest silny jak tur i bardzo dobrze ułożony. Nigdy koni nie biję, bat mam tylko od parady.

Stary często przyjeżdża na urlop. Walczy w okolicach jeziora Ilmen. Nie ma już tego optymizmu i zapału do pracy, jak niegdyś. Gdy odjeżdża na front, zabiera wielkie paki z mięsiwem i pewnie dlatego tak często puszczają go do domu.

W kwietniu wywozimy sosny z kąkolewskiego lasu do tartaku w Lesznie. Mając młodego konika niewiele mogę ładować na wóz. Ciężkie są te świeże kloce i przy wyciąganiu z głębi lasu oraz ładowaniu umordujemy się piekielnie. Pomagamy sobie wzajemnie i korzystamy z rad starych, doświadczonych rolników. Przy załadunku najcięższych sosen posługujemy się tak zwaną „lodą". Do domu wracamy w nocy, kości nie czuję, a jutro czeka nas ta sama mordęga.

1 maja Niemcy świętują. Na placu przed kościołem Besaraby ustawili olbrzymi słup przystrojony wieńcami i wstęgami, i urządzili piknik ze śpiewami oraz jedzeniem. Młodzi wspinali się na słup, pewnie po nagrody. My cieszymy się z wolnego czasu dla siebie.

W pawłowickim lesie Niemcy urządzili olbrzymie magazyny ze sprzętem wojennym i częściami zamiennymi, a także materiałami budowlanymi,

pobudowali betonowe drogi, nawet bocznicę kolejową i małą elektrownię. W kościele jest sprzęt łączności. We wsi kwateruje oddział wojska i kolumna samochodowa. Autami dowożą sprzęt i części zamienne na front wschodni. Obsługa jednego z takich samochodów nocuje u nas. Nieraz siedzi po kilka dni. Handlujemy z nimi, czym się da. Za żywność i bimber dostajemy buty, skarpetki, bieliznę i nawet pierścionki. Jeden z ekipy Austriak – Leo jest wybitnie wrogo nastawiony do Hitlera, Prusaków i wojny. Wstydzi się za to, że Hitler jest z pochodzenia Austriakiem. Leo przesiaduje ze mną w stajni i „bluźni". Mimo wszystko jestem ostrożny i mówię jak najmniej. Jego kamraci nie przychodzą do stajni, przesiadują z kobietami w kuchni, skąd dochodzą śmiechy i głośne rozmowy. Pewnego razu Leo zaproponował mi wypicie piwa po Feierabend (po robocie). Chciał mi postawić także sznapsa. Wytłumaczyłem mu, że niestety, ale nie mogę pójść z niemieckim żołnierzem do restauracji Heidera, bo gdyby on to zobaczył, to nie miałbym co robić w Pawłowicach. Powiedział na to, że nie mam się bać, bo jak Heider coś powie, to mu da w gębę. Odmówiłem, powiedziałem: „Pan odjedzie, a ja muszę zostać, a wtedy Heider dopiero mi pokaże". Opowiedziałem mu o wszystkim, co Niemcy z Polakami wyprawiają; nie chciał wierzyć. Kazał mi zaczekać, uwinął się szybko i przyniósł do stajni piwo i wódkę. Popiliśmy zdrowo, bo i ja cośkolwiek ze skrzyni z sieczką wyciągnąłem. Chciał, abym zaśpiewał mu nasz hymn narodowy. Wytłumaczyłem, że nie zrobię tego z dwóch powodów: po pierwsze – jesteśmy pija-

ni i po drugie – siedzimy w stajni, a hymn narodowy wymaga powagi i odpowiedniego miejsca. Spodobało mu się takie postawienie sprawy. Leo pięknie grał na cytrze i zawsze ją ze sobą woził. Na krótko pożyczał mi nawet z nutami dla początkujących. Powiedział kiedyś, że po wojnie, jeśli przeżyje, chciałby się ze mną spotkać i szczerze pogadać.

W czerwcu dotarła do nas wiadomość, że we Francji wylądowały wojska amerykańskie, angielskie, kanadyjskie, są tam też naturalnie dywizje polskie. Wielki entuzjazm i radość zapanowały wśród nas, teraz wojna nie może już długo trwać, bo i na wschodzie Niemcy cofają się na łeb, na szyję. Dochodzą do nas wieści o dużych stratach zadawanych wrogowi przez polskich partyzantów.

Latem na urlop przyjechał mąż Erny – Eryk. Kobiety chodzą smutne i zapłakane, widocznie nie przywiózł pomyślnych wiadomości z frontu. Przy obiedzie siedzieli markotni. Naraz Eryk mówi: „Ale defiladę i tak będziemy robić w Moskwie", a po chwili dodał: „Aber als Kriegsgefangene" (ale jako jeńcy wojenni). Po obiedzie z uciechy tarzaliśmy się z Zygmuntem w słomie, a potem w plewach i wyglądaliśmy jak strachy na wróble. Dziwiłem się, że Eryk takie rzeczy głośno wypowiada; czy jest im już wszystko jedno?

Ten Eryk, jak na niemieckiego żołnierza, jest miły i przyzwoity. Gdy przyjeżdżał na urlop, przywoził mi zawsze jakiś drobiazg, dawał papierosy i pomagał w pracy. Jeździł też ze mną w pole. Opowiadał o wojnie, że ciężko, że partyzanci rozwalają tory kolejowe i niszczą pociągi z żywnością i uzbrojeniem.

Ostatnie żniwa u Laubego, Pawłowice, lipiec 1944 r.

Klął na Hitlera za wywołanie wojny, której i tak nie wygra. O jego stosunku do Polaków świadczy następujące wydarzenie. Po drugiej stronie ulicy mieszkała Polka, Monika B. z dwoma małymi dziećmi. Często pomagała nam w pracy. Kiedyś wpadła do nas z płaczem, że jest u niej Heider, krzyczy i grozi, że nie poszła do pracy. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że w łóżku leży chore dziecko. Eryk zerwał się i pobiegł tam, zbeształ Heidera i pogroził, że go stłucze. Wieczorem przyjechało auto z komendantury z Leszna i nasz Eryk musiał natychmiast wyjechać na front. Stracił kilka dni urlopu. Heider miał władzę nawet nad żołnierzami. Od tego czasu Laube,

Eryk i ich żony nie mogli na niego patrzeć.

Zygmuś jest okropnie zażarty na Niemców. Sam oberwał od szubrawców z Hitlerjugend za to, że im się nie ukłonił i nie zdjął czapki, a jego brata Niemcy zbili i gdzieś wywieźli. Kiedyś powiada do mnie: „Uważaj, jak po wyjściu listonoszki stara poleci do wychodka, to na pewno nie było listu od starego" (a ten pisał prawie codziennie). I to była prawda. W pewnym okresie listy nie nadchodziły przez dłuższy czas i Zygmunt z satysfakcji szalał. Musiałem go uspokajać, aby nie narobił sobie biedy i tłumaczyć, że z ludzkiego nieszczęścia nie należy się cieszyć, przecież my nie Niemcy, a Laubowie są dla nas dobrzy.

Ostatnie żniwa u Laubego, Pawłowice, lipiec 1944 r.

Zygmunt narzekał często, że Niemcy odebrali mu najlepsze lata, że jego miejsce jest teraz w szkole, a nie przy krowach. Chciałem mu pomóc i w wolnych chwilach douczałem go. Nauka przychodziła mu łatwo. Pisania było mało, bo kiedy miał to robić? Za to więcej dyskusji, rozmów i odpytywania. Uczyłem go języka polskiego (recytacje wierszy, wiadomości z historii literatury, omawianie utworów literackich).

Towarzyskie spotkanie. Humory dopisują, bo Niemców leją na wszystkich frontach, Pawłowice, lato 1944 r.

Pasąc krowy na polu miał dużo czasu na czytanie. Wiadomości z biologii, geografii i historii musiał opanowywać pamięciowo, z matematyką było różnie. Pod koniec okupacji awansował na parobka od koni, po wojnie był komendantem posterunku MO, obecnie na emeryturze.

Po żniwach pojechałem z Laubową na łąkę po siano. Podawała mi siano na wóz, ale co chwilę przerywała pracę, opierała się na widłach i ciężko wzdychała. W pewnym momencie powiedziała: „A jak te Ruski tu przyjdą, to pewnie będą mordować nas i was także". Ja na to: „Ruski też tacy ludzie, jak my i jeżeli ich nie mordowano, to i oni dadzą nam spokój". Myślę sobie, ale ci Niemcy mają pietra, gdzie się podziała ich buta? Tylko dlaczego nas straszą Rosjanami, gdy my wiemy od dawna, że z Armią Radziecką idzie wojsko polskie, a w Lublinie jest nasz polski rząd?

10 września zmarło na biegunkę dziecko Erny. Baby o higienę nie dbały, dały dziecku skwaśniałego mleka i z tego całe nieszczęście. W Pawłowicach był punkt lekarski. Dwa razy w tygodniu przyjeżdżał z Leszna lekarz, najczęściej młody Polak. Erna poszła tam z dzieckiem, ale po tym i tak nie przestrzegała recepty. Wydawało im się dziwne i podpadające, że lekarz na rozwolnienie przepisał środki przeczyszczające i jakieś tam herbatki. Leczyły na swój babski sposób i dziecko zmarło. Krótko przed śmiercią przyjechał jeszcze lekarz Niemiec i zrugał matkę, że nie prowadziła kuracji w myśl wskazań lekarza, który zastosował najwłaściwszy i jedyny sposób leczenia. Dobrze, że tak stwierdził, bo słyszałem już

odgrażania, że polskiego lekarza zaskarżą do sądu za spowodowanie śmierci dziecka, a wiadomo, czym to groziło.

12 października przyjechał na urlop szef. Uparł się, aby jeszcze zasiać żyto. Przed południem uprawiałem rolę, a po obiedzie pojechaliśmy siać. Było bardzo ciepło, podwieczorek jedliśmy siedząc na rowie. Gadaliśmy o sprawach gospodarskich, a on nagle pyta, co sądzę o wojnie i jej końcu. Ja mu na to, że nic nie wiem, bo skąd? To on będąc na froncie jest chyba lepiej poinformowany i zorientowany. Ale on wmawia mi, że jako nauczyciel wiem na pewno, że wojna kończy się i Niemcy sromotnie ją przegrają. „Pokazałbym ci – mówi – coś, ale gdyby to się wydało, to obydwaj jesteśmy tot" (martwi). Odpowiedziałem mu: „Nie chcę być tot i nie jestem ciekawy, co masz do pokazania". Nie wytrzymał jednak, wyjął portfel i z najgłębszego zakamarka wyciągnął ulotkę zrzuconą przez radzieckie lotnictwo. Na jednej stronie napis w języku rosyjskim, na drugiej w niemieckim. Napisano mniej więcej tak: Żołnierzu niemiecki, o co się bijesz? Wojna już dawno przegrana, ty głodujesz na froncie i w każdej chwili narażony jesteś na śmierć lub kalectwo, twoja rodzina żyje w gruzach niepewna jutra, natomiast wodzowie i hitlerowska elita opływają we wszystko; Goering np. je na jedno posiedzenie całą kaczkę i popija najlepszym winem, gromadzą majątki, i kosztowności i szykują się do ucieczki do zamorskich krajów. Jeżeli zgłosisz się z tą ulotką u nas, będziesz dobrze traktowany i zaraz po wojnie wrócisz do domu, w przeciwnym razie nie licz na litość. Szef zaklinał mnie, abym go nie zdra-

dził, jeszcze nikomu ulotki nie pokazywał, nawet własnej żonie, ja jestem pierwszy i chyba ostatni. Do niewoli nie chce sie dostać, a ulotkę chowa na wszelki wypadek, pragnie przeżyć, ma małe dzieci do wychowania, a pracować może wszędzie, za parobka u Polaka, czy gdzie indziej. Ale heca, jak oni pokornieją.

Pod koniec listopada kopaliśmy rowy przeciwpancerne i okopy strzeleckie przy szosie gostyńskiej. Dla umocnienia wykopów zwozimy świerkowe drągi. Wycinają je i przygotowują uchodźcy i jeńcy z powstania warszawskiego. Mieszkają zamknięci w barakach w lesie i głodują. Wspomagamy ich jak możemy żywnością i papierosami, choć sami tego mamy niewiele. Ortsbauernführer szaleje, popędza, nie daje czasu na odetchnięcie i papierosa. Pracujemy od rana do zmierzchu bez przerwy obiadowej. To się nie liczy, czujemy wolność!

6 grudnia dostałem wezwanie do Arbeitsamtu. Źle! Nazajutrz tam pojechałem. Zakomunikowano mi, abym wieczorem zgłosił się z łopatą i żywnością na dwa dni, pojadę na Einsatz[38]. Matka przygotowywała mi „wyposażenie" i płakała. Na kolację poszedłem jeszcze do starej. Przypadek zrządził, że akurat wtedy zjawił się szef. Gdy się dowiedział, że mnie zabierają, porwał rower i pojechał do „przy-

[38] Einsatz – prace okopowe zwane również pracami szańcowymi. Zarządzenie o masowych robotach szańcowych ukazało się w czerwcu 1944 r. Początkowo zabierano do prac w niedzielę, względnie raz w tygodniu. Od połowy 1944 r. całe grupy ludności w różnym wieku wywożono na czas dłuższy do pracy z dala od ich miejsca zamieszkania, E. Serwański, *Wielkopolska...*, s, 507.

jaciela" Heidera. Wrócił niebawem i opowiedział o całej hecy. Do Arbeitsamtu zgłosił mnie nie kto inny, jak Heider. Swą decyzję uzasadniał tym, że jestem politycznie niebezpieczny i „aus politische Gründe"[39], muszę z Pawłowic być usunięty. Na wysłanie do obozu koncentracyjnego nie było już pewnie czasu. Stary zmusił go do wycofania decyzji i powiadomienia o tym urzędu pracy. Pod presją i groźbą zrobił to. Jeszcze tego samego wieczoru pojechaliśmy z moim szefem do Leszna.

Z tą jazdą to też było kino. Nie powiedział do mnie ani słowa, dokąd jedziemy i po co. Zabraliśmy rowery i udaliśmy się na stację w Pawłowicach. Wagony dla Polaków miały białą krechę i do takiego skierowałem się, ale stary chwycił mnie za rękę i powiedział: „Jedziesz ze mną!" i wepchnął mnie do wagonu „Nur für Deutsche". Siedzieli tam żołnierze i cywile, a Laube gada do mnie po polsku, pyta o gospodarkę i plany na wiosnę. Popatrzyli na nas jak na zbójców. Bo żeby mój szef mówił cicho lub szeptem, ale gdzie tam! – gadał głośno i śmiał się na cały przedział, po prostu prowokował. Ja zaś w tym towarzystwie czułem się, jak nagi w pokrzywach. W Lesznie udaliśmy się do urzędu opiekującego się żonami żołnierzy frotowych i tam Laube przy pomocy gęsi i paczki z mięsem sprawę sfinalizował. Po wyjściu z urzędu powiedział do mnie: „Teraz jesteś pod opieką innej władzy i kacyk Heider już ci nic zrobić nie może, poręczyłem za ciebie". W nocy powróciliśmy do domu.

[39] Z politycznych względów.

Pozostałem w Pawłowicach, ale moje życie stało się teraz nie do pozazdroszczenia. Szef odjechał na front, urząd daleko, a Heider zaczął się mścić, uprzykrzać życie i prześladować na każdym kroku. Od razu źle czyściłem konie, wóz był brudny, a za byle słomkę na podwórzu wygrażał bykowcem, jednak nigdy mnie nie uderzył. Żałowałem, że nie pojechałem na Einsatz.

Na święta Bożego Narodzenia szef znów przyjechał. Po wigilijnej wieczerzy Zygmunt dostał paczkę, a ja nic. Pomyślałem sobie, co tu jest grane? Dlaczego i o co mają do mnie pretensję? Po złożeniu życzeń wyszliśmy. Dochodziłem już do domu, gdy dopędził mnie Laube i prosił, abym do nich wrócił. Poszedłem, choć nie było to mi na rękę, bo byłem umówiony. Stół był teraz obficie zastawiony, znalazła się wódka i dobre papierosy. Nastrój był jednak kiepski. Gadaliśmy o obojętnych sprawach. Dopiero po kilku głębszych rozwiązywały się języki. W pewnej chwili stary zwrócił się do mnie ze słowami: „Wojna jest przegrana i niedługo się skończy, wkrótce będą tu Rosjanie. Myślę, że nie miałeś u nas źle, traktowaliśmy cię, jak swego i dlatego mogę prosić, nie mścij się na żonie i dzieciach, bo nie są winne, że ty, nauczyciel, musisz pracować za parobka, a Niemcy tyle krzywd wyrządzili Polakom". Zaczął szlochać, kobiety płakały, dzieci też. Zrobiło mi się bardzo przykro. Powiedziałem, że gdy do takiej sytuacji dojdzie, na pewno nie będę się mścił, bo nie mam za co, przeciwnie – czuję się zobowiązany do udzielenia pomocy. Całą noc przegadaliśmy, a na mnie ktoś czekał...

W święta opowiadał mi szwagier Staszek o swoich kłopotach i strachu, jakie przeżył na kolei. Transportował ciężki towarowy pociąg z Leszna do Poznania. Sfatygowany, nienaprawiony od dawna parowóz z byle jakim węglem zasapał się i stanął w Lipnie. Stamtąd zadzwoniono do Leszna o pomoc. Przyjechał tyłem parowóz, aby pchać. Gdy już wszystko było gotowe do odjazdu, szwagier dał sygnał – długi gwizd, co oznacza: jechać do przodu. Biedny maszynista pchającego parowozu zapomniał, jak jest ustawiony i teraz dwa parowozy ciągnąc w różne strony, rozerwały pociąg. W mniemaniu Niemców oznaczało to sabotaż i zbrodnię przeciwko narodowi niemieckiemu. Natychmiast z ekipą naprawczą zajechało Gestapo. Szwagier wybronił się, bo udowodnił, że działał zgodnie z przepisami, a musiał walczyć o swoje życie tym bardziej, bo ten drugi maszynista był Niemcem. Gestapowcy chcieli naturalnie całą winę zwalić na Polaka. Biegły kolejowy, który był przy tym, przyznał rację Staszkowi, a i Niemca bronił twierdząc, że nie działał w złej wierze. Zagapił się po prostu, a szkody z tego wynikłe są niewielkie.

Zaraz po świętach Heider przeniósł Zygmunta do innej wsi. Mam teraz więcej pracy – trzeba karmić i czyścić konie i krowy, samemu wyrzucać obornik. Wszystko się tylko spycha. Niemcy nie mają najmniejszej chęci do pracy, schodzą się, szepczą na ucho, głowy zwieszone, panuje atmosfera strachu i wyczekiwanie, chyba na cud.

1945

Nareszcie koniec okupacji

8 stycznia dowiedziałem się, że podobno będą internować polskich podoficerów. Nie wiem, co robić, uciekać nie ma dokąd, a ukrywać się też nie można, bo nie wiemy, jak długo to jeszcze potrwa. 15 stycznia miało przyjechać objazdowe kino, odwołali.

16 stycznia wśród Niemców popłoch, ruch, bieganina, naradzanie się, a wszyscy wystraszeni i ogłupiali. My, Polacy, wyglądamy, kiedy na drodze pojawią się rosyjskie czołgi. Nic nie robimy, obijamy się tylko. Rozmawiałem ze starym Ksawerym. Mówił, że za dwa, najwyżej trzy dni będą tu Rosjanie. Zadajemy sobie pytanie, co tu się jeszcze dziać może. Ludzie gadają, że Niemcy zamkną wszystkich mężczyzn w kościele i wysadzą w powietrze. Co tu decydować i co robić w takiej sytuacji?

20 stycznia przy śniadaniu kobiety płaczą, bo niedługo będą tu bolszewicy, a tych tak bardzo się boją. Udaję współczucie, ale serce skacze z radości, że wolność tuż, tuż. Przed południem przyjechał goniec od Ortsbauernführera z rozkazem, aby się pakować. Będziemy uciekać, bo Ruski blisko. Ale tempo, co dopiero ruszyli znad Wisły! Pozbierałem stare koce do okrycia koni. Żal mi tych stworzeń, nade wszystko młodego konika, boję się, czy wytrzyma. Stara z Erną pakują odzież, pierzyny i żywność. Po południu przyszedł rozkaz – rozładować! Jestem wściekły, dźwigać muszę sam, a ciężkie to jak diabli. O 18.00 było jeszcze zebranie Niemców u Heidera.

Kazał pakować się i odjazd o 22.00. Wóz przeładowany, na drogach śnieg i ślisko, biedne konie. Szefowa nakazała jeszcze sąsiadowi dbać o bydło i opiekować się całością, bo za tydzień, najwyżej dwa, wrócimy. Śmiać mi się chciało z tego naiwnego optymizmu. Widocznie Heider na odjezdnym tchnął w nich jeszcze ducha nadziei.

Na drogach wielki bałagan, niepasujący wcale do przechwalonego niemieckiego porządku – wóz przy wozie, na dodatek kolumna wojska, ruszyć się nie można, a wszystkich opanował strach i chcieliby jak najprędzej znaleźć się za Odrą. Stara mówiła mi, że na Odrze bolszewicy zostaną zatrzymani, a potem cofnięci aż do Azji. Niech sobie pomarzy, zapomniała już, co mówił jej mąż. My wiemy swoje! Wzdłuż kolumny wozów jadą rowerami i idą członkowie Volkssturmu[40] – przeważnie nasi z Besarabii. Stare są te dziadki, ale karabiny mają i tym wzbudzają trochę respektu, choć wygląda na to, że strzelać nie umieją. Do Leszna (14 km) dotarliśmy po 12 godzinach. Świeci słońce i jest dosyć ciepło. Na ulicy Daszyńskiego[41] czekał na mnie szwagier Józek Ziarkowski[42] z synkiem Stasiem. Namawiał mnie natar-

[40] Volkssturm – niemieckie pospolite ruszenie, powołane rozkazem Hitlera 25 września 1944 r. Rozkaz przewidywał powołanie wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, w wieku od 16–60 lat. J. Bogdanowicz, *Ziemia Leszczyńska – styczeń 1945*, Leszno 2013, s. 13.

[41] Ul. Daszyńskiego – od 22.12.1984 r. krótka ulica niedaleko zbiegu ul. Fabrycznej, G. Narutowicza i Alei Konstytucji 3 Maja. W latach 1945–1951 nazwę tę nosiła obecna ul. Niepodległości. *Przewodnik po ulicach miasta Leszna*, Leszno 2006, s. 27.

[42] Ziarnkowski Józef (1905–1981), krawiec. Od 1 II 1945 r.

czywie, abym jak najrychlej zwiał. Ostrów jest już wyzwolony, za Odrą będą ciężkie walki, nie ma sensu dobrowolnie pchać się pod bomby. (Szwagier był świetnie zorientowany w sytuacji, ponieważ stale słuchał radia i był w kontakcie z pełnomocnikiem Rządu Lubelskiego, współorganizował potem pierwsze władze miasta i powiatu. Został później pierwszym prezydentem miasta Leszna). Zwiać to bym chciał, ale jak to zrobić, gdy obok Volkssturm, a Stasio jedzie końmi? Powiedziałem Józkowi, że przy najbliższej okazji ucieknę. Podaną przez szwagra herbatą podzieliłem się z moimi uciekinierami.

Józef Ziarnkowski, tymczasowy wiceburmistrz Leszna, od 10 II 1948 r. prezydent miasta Leszna z żoną (siostra autora), Leszno 1946 r.

Wieczorem znaleźliśmy się w lesie pod Zaborówcem. Do wsi wjechać nie można, bo drogi zata-

---

został powołany na tymczasowego wiceburmistrza miasta Leszna. 10 II 1948 r. wybrano go pierwszym prezydentem miasta Leszna. 20 VI 1949 r. Miejska Rada Narodowa w Zielonej Górze powołała go na prezydenta miasta. 26 VII 1949 r. złożył rezygnację z funkcji prezydenta miasta Leszna i przeniósł się do Zielonej Góry, gdzie mieszkał do śmierci. Szerzej w: A. Piwoń, *Ziarnkowski Józef*, [w:] *Słownik...*, T. II, s. 399–401.

rasowane. Radziłem kobietom, aby zabrały dzieci i poszły do wsi ogrzać się i zjeść coś gorącego, ale nie chciały. Dzieci leżą w pierzynach, kobiety wzdychają i płaczą pod przykryciem, a mróz bierze coraz większy. Tak sobie myślałem patrząc na to, czy te małe dzieci i te dwie kobiety ponoszą również część winy za to, co Niemcy Polakom i innym narodom uczynili, czy Hubert, zawsze uśmiechnięty, gdy dorośnie, byłby zdolny mordować? A przecież, gdy zaczął chodzić do szkoły, zmienił się bardzo w stosunku do mnie i szczególnie do Zygmunta, rzadko przychodził do stajni, przestał mówić po polsku; widać faszystowsko-rasistowskie wychowanie zaczęło owocować. Jakby nie było, trudno mi wydać jakiś rozsądny i obiektywny sąd w tej sprawie. Teraz jest to gromadka biednych, wystraszonych i bezradnych ludzi. A nie tak dawno błyszczały im oczy na wieści o sukcesach na frontach. Temperatura dalej spada. My, furmani – Polacy – stoimy w gromadkach, palimy papierosy i gawędzimy. Wokół nas Volkssturm, o ucieczce nie ma mowy. Nawet wtedy, gdy chcemy iść „na stronę", wlecze się za nami Niemiec z karabinem.

Wczesnym rankiem wyruszamy dalej. Śnieg skrzypi. Kilka kilometrów siedzę na wozie i nogi trzymam w worku z sieczką, potem maszeruję; to pomaga. Biorę też na dół Huberta i razem biegniemy, kobiety opatulone pierzynami z wozu zejść nie chcą. W Sławie Śląskiej krótki postój i posiłek. Karbuję w pamięci rozkład ulic, zdecydowałem się już – dzisiejszej nocy uciekam, a nie chciałbym pobłądzić. Za Sławą Śląską jednostajne lasy, sama sośnina,

tak na oko dwudziesto- trzydziestoletnia, żadnych krzewów, żadnych drzew liściastych. Ta straszliwie nudna droga ciągnie się chyba z 14 kilometrów.

Późnym wieczorem dojechaliśmy do miejscowości Zetnau. Aby się gdzieś zaczepić, wjechałem zadowolony, że nikt mnie nie ubiegł, na obszerne podwórze. Myślałem sobie tak: konie ulokuję w stodole, a moi ludzie odpoczną wreszcie pod dachem, ale zaczęło się piekło... z domu wypadła jakaś baba z krzykiem, żebyśmy się natychmiast stąd wynieśli. Wczoraj to tacy, jak my, ukradli jej króliki. Patrzę na szefową, a ta w płacz. Myślę, co za ludzie, tu wszystko wali się, a im króliki w głowie; baba widzi, że na wozie są małe dzieci, że trzeba by im mleka. Powiedziałem po polsku, żeby sobie ulżyć: „Udław się jędzo swoimi królikami!", a ona z pyskiem: „Was hast du gesagt?" (co powiedziałeś?). Do starej dodałem „U nas, Polaków, coś takiego byłoby nie do pomyślenia, my w biedzie potrafimy podzielić się ostatnim kawałkiem chleba". Pokiwała smutno głową. Natrudziłem się bardzo, zanim z długim i ciężkim drabiniastym wozem wydostałem się na ulicę. Koniec końców kobiety z dziećmi ulokowano w sali przy restauracji, a ja i jeszcze jeden polski parobek, Czesław Nowak, wjechaliśmy na podwórze opuszczonego gospodarstwa i wprowadziliśmy konie do pełnej siana stodoły. Po kolacji zjedzonej z Niemkami w sali pilnowałem wozów, a Czesław spał w sianie. Przygotowałem wszystko do wyjazdu, żeby stara nie miała kłopotu i obudziłem Czesława. Powiedziałem mu, że uciekam i prosiłem, aby mnie nie zdradził, a przy wyjeździe pomógł zaprząc konie. Cieszyłem się

z realizowania zamiaru ucieczki, a jednak miałem wyrzuty sumienia. U Laubów nie było źle, a teraz zostawiam ich, jak by nie było, w kłopotliwej sytuacji. Miałem jednak nadzieję, że sąsiedzi i Volkssturm pomogą i zaopiekują się nimi. Moje miejsce jest teraz w Pawłowicach, gdzie została stara matka i gdzie muszę jak najszybciej przystąpić do organizowania „władzy", uruchomienia szkoły i zaopiekowania się opuszczonym mieniem. Prawowici właściciele z wygnania wrócą później.

Była godzina 2.30, zaczął się ruch, niecierpliwi już wyjeżdżali. Droga ciężka, leży dużo śniegu, a ja idę lasem, aby uniknąć poruszania się „pod prąd" i nie spotkać kogoś z Pawłowic lub, co nie daj Boże, Heidera! Czuję zmęczenie, trzy noce nie spałem i boję się trochę, czy wytrzymam. Na szosie ruch, jadą wozy, idą piesi z tobołami, ciągną sanki. Wszystkich pędzi strach. Zaczyna padać śnieg, dla mnie to lepiej. Mnie też strach obleciał, porwałem się na ryzykowną eskapadę. To wszystko i zmęczenie wywołało u mnie jakiś tajemniczy i nieokreślony nastrój; czułem, jakbym ocierał się o grozę czegoś nieoczekiwanego, tym więcej, że widoczność była coraz gorsza, pojawiła się mgła. Kontury ludzi, wozów i drzew zacierały się i wszystko wyolbrzymiało. I tak nagle naszedłem na dwa cienie ludzkie. Byli to policjanci z rowerami. Zatrzymali mnie. Przeżyłem chwile grozy. Zauważyłem jednak, że i oni też są zalęknieni, bo bardzo grzecznie spytali, czy tą drogą dojadą do Głogowa. Jechali źle i pobłądzili, ale nic nie tłumaczyłem, bo bałem się, że zaczną wypytywać, co tu robię, dokąd idę, więc powiedziałem szybko, że tak, że tą drogą dojadą do Głogowa. Odjechali bardzo pośpiesznie.

Przestraszony, z duszą na ramieniu, szedłem dalej, a wszystko we mgle zaczęło przybierać jakieś niesamowite kształty. Byłem świadom tego, że po trzech nieprzespanych nocach mogą pojawiać się różne majaki. W takim nastroju w okolicach dworca wszedłem w niezwykły szpaler – na chodniku pod ścianami domów stał długi szereg dziwnych postaci z kocami narzuconymi na głowy tak, że twarzy nie było widać, a na jezdni przechadzali się umundurowani Niemcy z psami. Tę niesamowitą atmosferę uzupełniał niemiły, mdlący zapach stęchlizny i środków dezynfekcyjnych. Słychać było cichy szept, jakby modlitwy i szlochy. Ze względu na złą widoczność wtargnąłem tam zupełnie dla mnie niespodziewanie. O zawróceniu nie było mowy. Z trwogą w sercu kroczyłem między szeregiem tajemniczych postaci, a Niemcami. Nikt mnie jednak nie zatrzymał. Idąc czułem, że lada chwila padną w plecy strzały. Dopiero za Sławą Śląską odetchnąłem sobie głęboko. Nic dziwnego, że ten potworny i koszmarny obraz prześladował mnie bardzo długo i śnił mi się po nocach. Jak się później dowiedziałem, w Sławie stały wtedy więźniarki z pobliskiego obozu[43].

Przed Potrzebowem w lasku siadłem na kupce drewna, zmieniłem skarpety i zjadłem chleb z boczkiem. Chętnie bym sobie odpoczął, ale zerwałem się rychło, bo taka ogarniała mnie senność, więc bałem się, że zasnę i zamarznę. Po wyjściu z lasu patrzę i oczom nie wierzę – na drodze leżał rower, pewnie

[43] Najprawdopodobniej chodzi o więźniarki mieszczącego się w Sławie podobozu obozu koncentracyjnego w Rogoźnicy. *Obozy hitlerowskie...*, s. 456.

spadł komuś z wozu. Stary to był gruchot, ale do jechania nadawał się jeszcze.

W Potrzebowie byłem rano. Tam wstąpiłem do pierwszej z brzegu starej chatki, bo wiadomo, w takiej mogą dziś mieszkać tylko Polacy. Przyjęła mnie gościnnie, po staropolsku, starsza kobieta i poczęstowała gorącym mlekiem oraz pajdą chleba z masłem. Mówiła, że ze wsi uciekli już wszyscy Niemcy. Podziękowałem za poczęstunek i ruszyłem rowerem w dalszą drogę. Między Zaborówcem a Krzyżówcem zatrzymały mnie dwie dziewczyny i prosiły, abym z nimi szedł, bo się boją. Okazało się, że mamy wspólnych znajomych i tak sobie gawędząc, doszliśmy do Jezierzyc. We wsi zator. Na drodze niemiecka artyleria, wozy z uciekinierami, nieopisany bałagan. Krzyki, nawoływania i rozkazy nie są w stanie rozładować potwornego korka.

O godzinie 17.00, już o zmroku, zawitałem u siostry w Lesznie przy ulicy Sokoła. Siostra rozpacza, bo od dwóch dni nie ma żadnej wiadomości o mężu – maszyniście kolejowym. Później dowiedzieliśmy się, że transportował do Wrocławia zestaw parowozów, a na każdym siedział żołnierz, mimo to, korzystając z mroku, szwagier i jego pomocnik zeskoczyli z maszyny i zwiali do lasu. Niemcy strzelali za nimi. Na szczęście niecelnie. Szwagier umknął do naszej matki w Pawłowicach i zakopał się w sianie. Do Leszna bał się wrócić, bo tu kolej jeszcze funkcjonowała. Ja też do Pawłowic nie idę; może jest tam Heider.

Moja udana ucieczka narobiła wśród Niemców wiele szumu i poruszyła ich bardzo. Szefowa wielce rozpaczała, gdy rano nie mogła mnie odszukać.

Przy pomocy innych zaprzęgnęła konie, a potem w kolumnie wozów jakoś poszło. W końcu dojechali pod Berlin i tam ich prowizorycznie rozlokowano. Bardzo szybko zjawił się Heider. Gdy usłyszał o mojej ucieczce, uspokoił wzburzonych Niemców i powiedział: „Borowiak nie żyje, spotkałem go w drodze i zastrzeliłem – i dodał jeszcze – nauczyciel, a taki głupi". Wszyscy Polacy, którzy tam byli, współczuli mi, myśleli, że jednak głupio postąpiłem uciekając; oni żyją, a ja? Tymczasem gdy oni musieli jeszcze usługiwać Niemcom, kopać rowy i umocnienia, ja już w wolnej ojczyźnie organizowałem MO[44] i oświatę. O tym jednak nikt wówczas nie wiedział. Jakie więc wielkie zdziwienie, ba, osłupienie wywołałem będąc w końcu maja na stacji w Lesznie, gdy natknąłem się na powracających z Niemiec byłych parobków. Gdy mnie zobaczyli, stanęli jak wryci, jakby zobaczyli ducha, a jeden z nich, Antek Kołodziej, wydusił: „Józef, ty żyjesz?" Roześmiałem się i spytałem: „A dlaczego to nie miałbym żyć?" Wtedy opowiedzieli o Heiderze. Dodali, że wielu Niemców było usatysfakcjonowanych i to w widoczny sposób wypowiedzią ich sołtysa. Jeszcze wtedy, gdy wojna tak tragicznie dla nich się skończyła, nie mogli zrozumieć, że Polak może sam zadecydować o swoim losie i odważyć się przestać im służyć; spotkała go więc zasłużona ich zdaniem kara. Wielki hitlerowiec Heider, gdy weszły tam wojska radzieckie, natychmiast ofiarował im swoje usługi, doszło nawet do tego, że donosił i oskarżał swoich rodaków (mówił

[44] Milicja Obywatelska.

mi o tym nie tak dawno Laube). Długo to jednak nie trwało, rychło odkryły go władze polskie i potem w Lesznie był sądzony za wszystkie zbrodnie i skazany na karę śmierci.

24 stycznia czytałem książkę i pomagałem siostrze przygotować obiad. Głównymi i polnymi drogami ciągnie wojsko i cywile. Nikt z tych ludzi nie pomyślał pewnie, jaki sromotny koniec ich czeka.

25 stycznia w południe przyjechał z Pawłowic Antek Rybiński, przywiózł nam żywność od matki i miłą wiadomość, że szwagier jest bezpieczny. Wszyscy Niemcy uciekli, Heider też. We wsi spokój, ludzie zaopiekowali się opuszczonym inwentarzem. Jutro rano muszę ruszyć do Pawłowic i ze szkolonymi kiedyś podoficerami zorganizować „władzę". Późnym wieczorem weszli do nas dwaj niemieccy żołnierze i poprosili o nocleg. Obserwowałem ich – zbiedzeni, głodni, brudni i zarośnięci, mundury i buty zdarte, starannie opatrywali obolałe nogi, bo tylko one, jak mówili, pozostały im do uciekania. O co się bili i co wywalczyli? Usprawiedliwiali się przed nami za nieludzkie sprawki Niemców. Dzisiaj to już nikomu na nic się nie zda i nikogo nie oczyści. Piętna zbrodni nieludzkich nikt z niemieckiego narodu nie zdejmie. Siostra nakarmiła ich i umożliwiła wymycie się. Rychło rano powlekli się dalej.

26 stycznia szwagier jeszcze nie wrócił. Siostra w ciąży, z dwójką dzieci, nie chce mnie puścić, ale obowiązek obowiązkiem, więc ruszyłem do Pawłowic. Po drodze wstąpiłem do Ziarnkowskich pokazać się szwagrowi, że jestem. Koło roszarni zatrzymał mnie niemiecki posterunek i nakazał wracać (die Strasse

ist Gesperrt)[45]. W kąkolewskim lesie rozlegają się pojedyncze strzały karabinowe. Wróciłem do siostry na ulicę Sokoła. Przy torze koło rzeźni stoi działo przeciwlotnicze. Niedobrze.

27 stycznia. Ludziska straszą, że Niemcy w Lesznie organizują silną obronę, że będą ciężkie walki i bombardowania. Polaków pozamykają w kościołach i wysadzą w powietrze, tak robili podobno w innych miastach. Wieczorem widać łuny, front zbliża się, wolność tuż, tuż, a mogą dziać się u nas różne straszne rzeczy.

28 stycznia. Po obiedzie siedzieliśmy z sąsiadami i radziliśmy na temat ewentualnego przygotowania, na wszelki wypadek, prowizorycznego schronu w piwnicy domu, gdy nagle usłyszeliśmy od strony Henrykowa – jeden za drugim – sześć strzałów armatnich. Szybko zaniosłem dzieci do piwnicy i z mężczyznami z sąsiednich domów zabezpieczyliśmy duże ilości wody, ziemniaki i warzywa, a także dla dzieci prosty sprzęt do spania. Wstawiliśmy też piecyk do grzania i gotowania. Zebrało się nas około 30 osób, w wieku od 2 do 80 lat. Co jakiś czas słychać artyleryjskie strzały i dom się trzęsie. Wieczorem wszystko ucichło. Poszedłem spać do domu. Siostra z dziećmi i innymi pozostali na noc w piwnicy.

29 stycznia. Przed południem spokój. Poszedłem do miasta po jedzenie. Większych strat nie zauważyłem, tylko na ulicach leży pełno szkła. Na Nowym Rynku kupiłem chleb. Chwała piekarzom, że mimo strzelaniny pracowali! Po obiedzie znów

[45] Droga zamknięta.

się zaczęło. Od huku wyleciały u nas wszystkie szyby z okien. Całą noc bije artyleria. Odzywa się też działo niemieckie przy rzeźni.

30 stycznia, wtorek. Jedzenie gotuję w domu i zanoszę do piwnicy. Proste to wszystko – kawa zbożowa, chleb, ziemniaki ze skwarkami i cebulą, na deser surowa marchew. Dobre i to, nawet bardzo dobre na dzisiejszy czas. Ustawili koło nas jeszcze trzy działa, huku dużo, dom się trzęsie, aż opada tynk ze stropu i ścian, kobiety i dzieci płaczą. Jeden z pocisków zerwał słup balkonu naszego domu. Rano widzieliśmy radzieckie samoloty. W nocy nawała artyleryjska wzmogła się. Słyszeliśmy głos katiusz[46]. Około 22.00 wszedł do naszej piwnicy niemiecki żołnierz, pewnie dojrzał światło w szparze okna. Kobiety, jak potem mówiły, zauważyły, że żołnierz był młody i ładny, mnie zaś uderzyło co innego – miał granaty za pasem i broń. Pomyślałem sobie, gdy będzie wychodził, rzuci granat i zrobi z nas jatkę, a on po polsku powiada: „Dobry wieczór, co tu u was słychać?" Był z nami taki jeden dziadek Radoła i ten odpowiedział: „Panie żołnierz, nam tu nieźle, ale zdałoby się gardło zaschłe od strachu czymś przepłukać". Żołnierz oznajmił, że przyjdzie do nas o północy z koniakiem, to możemy wypić sobie na zwycięstwo. Po jego odejściu krótka narada wojenna i postanowienie: przenosimy się do innej piwnicy, bo tu coś niewyraźnie, dzisiaj nikomu się nie wierzy. Kobiety, jak kobiety, powiadają, że tu ciepło, że wszystko im jedno i nigdzie nie pójdą, zresztą dzieci

[46] Katiusza – radziecka wyrzutnia rakietowa.

śpią. Zostaliśmy solidarnie wszyscy. Około północy wszystko nagle ucichło. Krótko po tym zjawił się ów żołnierz i rzeczywiście przyniósł kilka butelek francuskiego koniaku. Powiedział, że jest Ślązakiem i do niemieckiego wojska został wcielony przymusowo. Teraz wykorzystał okazję i kończy wojnę, jego kamraci uciekli w kierunku Wschowy.

Naraz usłyszeliśmy dzwony ze wszystkich kościołów. Wyszliśmy przed dom; na niebie łuny, gdzieniegdzie słychać pojedyncze strzały karabinowe, a poza tym cisza i tylko radosny dźwięk dzwonów. Jakie to było silne wrażenie. Dzwony biły, a jeszcze silniej biły nasze serca. Rzucaliśmy się w ramiona, nikt nie wstydził się łez. Na ulicy pojawiły się radzieckie czołgi i samochody. Żołnierzy wybawicieli witaliśmy ze łzami w oczach. Nareszcie wolność! Koniec koszmaru okupacji! Przez resztę nocy słuchaliśmy opowieści dezertera o przeżyciach wojennych i walkach od Stalingradu do Leszna; wypiliśmy przyniesiony koniak. Spalił mundur i wszystkie dokumenty, daliśmy mu cywilne ubranie, potem jeden z sąsiadów wystarał się mu o przepustkę na Śląsk i długi czas korespondowali ze sobą.

31 stycznia. Rano poszedłem do miasta i kupiłem chleb, piekarnie były czynne. Na Nowym Rynku, gdzie obecnie jest „okrąglak", stał wojskowy samochód ciężarowy, a przy nim gromada chłopstwa. Podszedłem i ja. Radzieccy żołnierze rozlewali wódkę. Wypiłem, choć bimber mocno zalatywał benzyną. W domu zastałem szwagra, przyszedł za wojskiem. Poszliśmy w dwóch do ćwiczni miejskiej, gdzie był magazyn płyt celuloidowych, wzięliśmy

kilka i wstawiliśmy je w miejsce wybitych szyb.

Dopiero o 14.00 mogłem ruszyć do Pawłowic. We wsi spokój. Od matki dowiedziałem się, że cofająca się banda własowców[47] wtargnęła do naszego domu i zabrała pierzyny, wszystkie moje ubrania, płaszcze i bieliznę, a także brzytwę i nawet kasetki z listami. Jestem goły i znów muszę zaczynać od zera.

Wieczorem zebrało się u nas wielu mężczyzn, aby radzić, co robić w najbliższych dniach. Były to bardzo trudne, choć radosne dni. Ja z zapałem rzuciłem się w wir pracy społecznej.

Dosyć charakterystyczny epizod z okupacyjnych czasów, świadczący o naszej żywotności i niezachwianej wierze w rychłe odzyskanie wolności. Nigdzie jeszcze o tym nie pisałem.

Po wywłaszczeniu mogliśmy mieszkać w swoim domu. „Właściciel" zezwolił łaskawie matce na korzystanie z przydomowego ogrodu. Pierwsze zimy były bardzo ostre i wymarzło wiele drzew.

Jesienią 1943 roku szwagier Walek zakupił gdzieś kilka drzewek owocowych. W niedzielę, przed południem, bo wtedy byliśmy w domu, zabraliśmy się do sadzenia. Zajęci pracą nie zauważyliśmy, jak obok nas stanął Ortsbauernführer. Ni to z ironią, ni ze zdziwieniem zapytał, co tu robimy. Matka mu na to z uśmiechem odpowiedziała: „Tak te mrozy narobiły szkody, aż serce boli, gdy się

[47] Własowcy – Rosyjska Armia Wyzwoleńcza, kolaborująca z Niemcami organizacja zbrojna złożona głównie z Rosjan. Nazwa potoczna „własowcy" pochodzi od nazwiska jej dowódcy Andrieja Własowa. Szerzej: Jarosław W. Gdański: *Zapomniani żołnierze Hitlera*. Warszawa 2005.

widzi te wielkie dziury między drzewami, więc sadzimy". Pokiwał głową, powiedział: „No to sadźcie, sadźcie" i pojechał. Trzeba było widzieć jego minę! Co on też sobie pomyślał: albo że Polacy są niebywale głupi, bo kupują drzewka za swoje pieniądze, a owocu i tak jeść nie będą, albo że są naiwnymi optymistami, a najprawdopodobniej, na to wskazywała jego mina, że „wiemy swoje", a ich kruche panowanie nie potrwa długo.

Zasadzone wtedy drzewka są dziś potężnymi drzewami i dały już wiele ton owocu. Jednak my mieliśmy rację!

Spis treści

Od redakcji 7

Józef Borowiak – biogram 13

Wojna i okupacja
we wspomnieniach Józefa Borowiaka
– leszczyńskiego nauczyciela 17

Jak to się zaczęło 19

1939 – A więc wojna 23

1940 – Okupacyjna rzeczywistość 39

1941 – Wielkie wywłaszczenie 57

1942 – Praca u Besarabów 77

1943–44 – Nadzieje na lepszy los 93

1945 – Nareszcie koniec okupacji 113